

TYGODNIK ILUSTROWANY



Z CYKLU: „ROK ŻOŁNIERZA“

BR. GEMBARZEWSKI

Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

W setną rocznicę założenia.

Słowa, wygłoszone przy otwarciu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk przez Albertrandiego, streszczają w sobie ideę, z której narodziła się i której służyć miała piękna, szanowna instytucja.

Nie była zresztą ta idea nową—tak samo, jak nie był nowym tytuł dla uczzonej korporacji wybrany.

Już o pół wieku wcześniej posiadała Polska „Towarzystwo Przyjaciół Nauk.“ Założył je czynny pionier oświaty, współpracownik Konarskiego: biskup Jędrzej Załuski, referendarz koronny. Istniało krótko, przemknęło, jak meteor—a choć błysnęło jeszcze raz i drugi w latach następnych, ślad po niem trwalszy nie pozostał.

Wspomina o tem Towarzystwie autor bezimiennej broszury z w. XVIII p. t. „Varsovie Vengée“, przyczem nazywa je „Akademią“ i dodaje, że odbywało posiedzenia w Marywilu.

Inny cudzoziemiec, Bernoulli, zwiedzający Polskę w r. 1778, oprócz wzmianki o Akademii Załuskiego, zamieszcza wiadomość o jakimś „Warszawskim Towarzystwie Fizycznym“, przy końcu r. 1777 zawiązaniem, „które swój początek zawdzięczało przeważnie panu Dubois“. Głównym celem Towarzystwa był postęp nauk fizycznych (przyrodniczych) w Polsce. Prezesa ani żadnej zgoda hierarchii instytucja ta nie posiadała; wszyscy członkowie byli sobie równi.

Nie posiadając skądinąd żadnej o „Towarzystwie Fizycznym“ wiadomości, przytaczamy nazwiska członków, podane przez Bernoullego. Stanowią one ciekawy przyczynek do dziejów nauki w Polsce, są zaś przeważnie cudzoziemskie: Dubois (profesor i bibliotekarz korpusu Kadetów), de Carossi (kapitan, dozorca królewskiego gabinetu przyrodniczego), Pflaiderer (profesor matematyki w korpusie Kadetów), de Nax (hydrotekt Rzeczypospolitej). Z Polaków zostali wymienieni: hr. Moszyński, hr. Ignacy Potocki, ksiądz Grzegorz Piramowicz, ks. Adam Czartoryski, hr. Michał Mniszech, ks. Stanisław Poniatowski. U Bernoullego znajduje się nadto wzmianka o jakiejś „Academia Mariana“, którą założył jakoby w r. 1753 Załuski „dla czci Matki Boskiej“ i która odbywać miała posiedzenia w uroczystości N. Panny Maryi. Głucho o tem u współczesnych i potom-



Biskup Albertrandi.

nych, więc przypuszczać można, że uczony podróżnik (Bernoulli był znakomitym matematykiem) padł ofiarą nieporozumienia lub mistyfikacji. Cokolwiek bądź, jest rzeczą niewątpliwą, że od połowy w. XVIII wszystkie najtęższe głowy w Polsce uczuwały potrzebę zbliżenia się dla wspólnej, użytecznej krajowi, pracy. Na nieszczęście, ta potrzeba wybrańców nie była jeszcze potrzebą ogółu, i dlatego wszystkie przedsiębrane w tym względzie próby—upadały.

Podrwiwa sobie z tych prób Trentowski—zbyt, jak na mędrcę, zapalczywy i zbyt bezwzględny. „Polacy—mówi—chorowali zawsze na planomanię. Kogóż u nas nie znajdziesz, ktoby raz w życiu wierszy nie pisał i planów czycych nie robił? Um polski, to nieszczęście nasze, igrać koniecznie pragnie—więc natworzył różnych planów, między innemi do założenia akademii uczzonej w kraju, podobnej do Paryskiej i Berlińskiej...“

Jabym sądził, że to podrywanie się do lotu, objawiane w projektach, często możność przechodzących, na szyderstwo nie zasługuje. Ono stwierdza, bądź co bądź, że mamy skrzydła i nie zrezygnowaliśmy z latania.

Projekty, tworzone pomiędzy rokiem 1750 a 1800 upadały, bo były przedwczesne. Jeszcześmy byli podówczas zanadto ciężcy do lotu. W roku 1800, dla zgromadzenia, uprawiającego i krzewiącego naukę, istniał już u nas grunt dostatecznie przygotowany. Cele przodowników i cele narodu całego były te same, łatwo też doszli wszyscy do pożądanego wyniku.

Jako twórców „Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ wymieniają jedni biskupa Albertrandiego, inni Stanisława Sołtyka. Obu tym twierdzeniom brak ścisłości.

Albertrandi był w danej chwili mężem, posiadającym najwięcej warunków do przewodniczenia ciału uczonemu, i dlatego, samą siłą faktów, został jego prezesem. Sołtyk ugaszczał u siebie najlepszych i najświatlejszych obywateli, wśród których zrodziła się—właściwie: odrodziła—myśl założenia towarzystwa naukowego. Działanie obu było tylko pośrednie: instytucja poczęła się nie z pomysłu tej lub innej jednostki, lecz z potężnego parcia idei, przenikającej całą lepszą część narodu.

Do potrzeb powszechnych przyłączyła się jedna szczególna, a bardzo nagląca.

Po upadku kraju społeczeństwo rozdzieliło się na dwie grupy. Jedną, na podobieństwo pogorzańców, którzy nie poddali się rozpacz i dalej żyć pragną, szperała w zgłiszczach, wygrzebując resztki mienia i obok inwentarza strat układając spis pozostałości. Ta grupa, wydostawszy z popiołów niestłony ogniem klejnot: mowę ojczystą, poczytała go za skarb wielki i otoczyła czcią najwyższą.

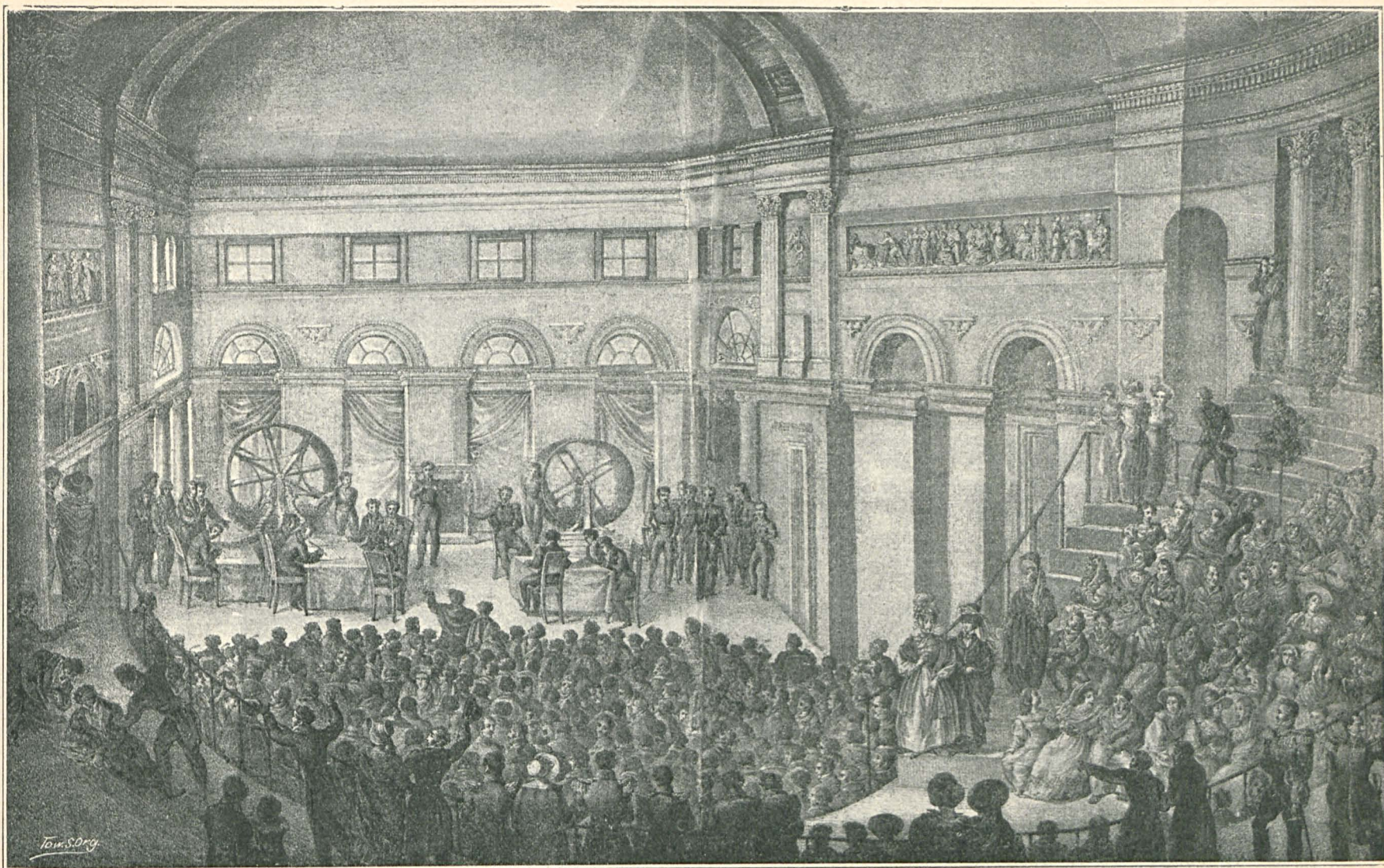
Druga grupa, choć również dobrą ożywną chęci, uległa dziwnemu zaślepieniu. Język rodzimy, rodzime piśmiennictwo, wszystko, co było swojskością w dziedzinie ducha, wydało się jej godnym lekceważenia—może nawet wzgardy.

Rzecz dziwna i smutna: książe Józef Poniatowski, którego przywykliśmy uważać za jednego z najbardziej narodowych bohaterów, należał do tej drugiej grupy. I nie tylko należał: on stanowił jej główną siłę, wzmacniając ją urokiem swego nazwiska, wielkiej popularności, wysokiego stopnia społecznego.

Nawet bez studyowania owej epoki u źró-



Gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.
Ze zbiorów Marcina Olszyńskiego.



SALA CIĄNIENIA LOTERYI PRZED STU LATY, W WARSZAWIE.

Ze zbiorów Wiktora Gomulickiego.

dła, wiemy dobrze z „Pamiętników Se-glasa“ Skarbka, oraz licznych powieści Kraszewskiego, czym był warszawski pałacyk „pod Blachą“ i jakiego rodzaju wpływ wywierał na społeczeństwo.

Z tym wpływem, który—może przez wstręt do panującej niemieczyny—chciał wszystkie kształty życia prywatnego pokryć pokostem francuskim, walczył już tylko „Teatr Narodowy“ Bogusławskiego, broniący swojskości w sztuce i życiu. Walka była rozpaczliwa i mogła być z łatwością skończyć się przegraną, gdyż książę Józef i pani Vauban, jego Egerya, dawali „ton“ sferom najwyższym, u nas zaś po wszystkie czasy sfery te kształtowały naród po swojemu.

Bogusławskiemu i jego scenie trzeba było śpieszyć z pomocą, i to właśnie zadanie miało spełnić „Towarzystwo.“

Zastęp patriotów, walczący z pania Vauban, miał główną kwaterę w mieszkaniu Sołtyka. Tam też powstał zawiązek nowej instytucji, tam pierwszy szkic ustawy opracowano, tam wreszcie spisano listę założycieli.

Od tych nazwisk luna bije...

Są na tej liście: Czacki, Czartoryski, Chreptowicz, Krasicki, Matuszewicz, Mostowski, Ossoliński, Potoccy Stanisław i Ignacy, Sapieha, Sobolewski, Sołtyk, Staszic (tak to nazwisko wydrukowano), Woroniec, Trembecki, Dmochowski, Karpiński, Linde, Osiński (Józef, brat Ludwika), Poczobut, Piramowicz, Sniadecki.

Pierwsze zebrania Towarzystwa, przez

rząd pruski zatwierdzonego, odbywały się w Bibliotece księży Pijarów przy ulicy Długiej. Tam obrany prezesem Albertrandi wygłosił pierwszą mowę, która choć przeładowana erudycją i zwrotami krasomowskimi, zawierała myśli głębokie a trafne.

Ustawa Towarzystwa ulegała kilkakrotnym przeróbkom, dotyczącym jednak bardziej form, niż treści. Główna zasada była zawsze ta sama, wyrażał ją zaś dokładnie pierwszy artykuł Ustawy, brzmiący we wszystkich redakcyach jednakowo:

„Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk stanowi sobie za cel istotny przykładać się do rozszerzenia nauk i umiejętności w polskim języku.“

W okresie rządów pruskich, po tym artykule następował inny, negatywny, który następnie z Ustawy usunięto. Brzmiał on: „Zabrania sobie Towarzystwo materji, ściągających się do religii krajowej i rządów teraźniejszych.“

Pod rządem pruskim ustawa drukowała się w dwóch językach: polskim i niemieckim. Przy porównywaniu tekstu oryginalnego z tłumaczeniem, widzi się, że wiele artykułów w języku niemieckim omówiono znacznie energiczniej i bezwzględniej, niż w polskim.

Pamiętkę tego okresu, który nazwałby można wstępnym, jest lista członków honorowych, na pierwszych wyborach ułożona. Znajdują się na niej nazwiska wyłącznie niemieckie: *Graf* v. Schulenburg, generał kawaleryi, tajny stanu i wojenny minister,

v. Voss, aktualny stanu i wojenny minister szef departamentu finansów Prus południowych, v. Kölher, gubernator warszawski, v. Klevitz, dyrektor generalny Prus południowych, departamentu finansów, Beym, tajny radca konsyliarz gabinetowy, v. Meyer, prezydent regencji Warszawskiej, v. Goldbeck, prezydent kamery wojenno-ekonomicznej Kaliskiej.

Gdy do przedrukowanej w r. 1810 Ustawy dołączono listę członków, już żadne z tych nazwisk nie figuruje...

Członkowie Towarzystwa dzielili się na czynnych, przybranych, honorowych i dopuszczonych. Ostatni przybrali z czasem tytuł „członków-korespondentów.“

W pierwszych wydaniach Ustawy wskazano jedynie liczbę członków czynnych, których miało być sześćdziesięciu. Później liczbę członków przybranych i korespondentów oznaczono na czterdziestu. Liczby członków honorowych nie ograniczano.

Na szczegółowym programie Towarzystwa znajdowały się cele następujące:

1-o bogacić język i kraj potrzebnymi dziełami;

2-o tłumaczyć obcych wzorowych autorów i innych do tej pracy zachęcać;

3-o przedrukowywać ważniejsze dzieła w języku ojczystym, zwłaszcza pisarzy dawnych; do nowych wydań dołączać uwagi i objaśnienia, oraz starać się o szersze ich rozpowszechnienie przez oznaczenie niskiej ceny;

4-o zbierać materiały do historii narodowej.



DOM POLSKI W OSTRAWIE.

(Obacz „Nasze ryciny.”)

Przedostatni z tych czterech celów spełnił, nie zwlekając, Tadeusz Mostowski, rozpoczynając wydawnictwo „Wyboru Pisarzy Polskich.” Te piękne tomy w dużej ósemce, na papierze holenderskim, z miedziorytowymi wizerunkami autorów, są dotychczas ozdobą prywatnych i publicznych księgozbiorów. Wyszło dwadzieścia sześć tomów „Wyboru,” a w nich dano przedruki Kochanowskiego (jedno z najlepszych wydań poety), Naruszewicza (przedruk i dopełnienie „Historii Narodu Polskiego”), oraz „Żywota Chodkiewicza”), Górnickiego, Orzechowskiego i wszystkich cenniejszych sielankopisarzy polskich.

Mostowski, który posiadał już doświadczenie redaktorskie i wydawnicze, (należał do kierowników „Gazety Narodowej i Obcej”) podniósł też myśl ogłaszania „tematów do rozpraw,” czyli po dzisiejszemu: „konkursów.” Myśl ta przyniosła wyniki jak najlepsze. Rozprawy celujące drukowano w „Rocznikach Towarzystwa,” a jedna z nich (Śniadeckiego o Koperniku) przyczyniła się pośrednio do uczczenia największego z Polaków pomnikiem.

Przez pierwsze sześć lat Towarzystwo odbywało posiedzenia w Bibliotece księży Pi-

jarów. Miejsce to było zaciszne, rzędami ksiąg doborowych, przeważnie polskich i łacińskich, suto przybrane, atmosferą nauki i skupienia myślowego przesiąknięte—słowem ideał pracowni dla uczonego, mozolnemi studjami zajętego badacza.

Ale wiele z zalet równało się w tym wypadku—wadom. Surowy, klasztorny, biblioteczny charakter miejsca odstręczał od niego szerszą publiczność—ścieśniając tym sposobem zakres wpływu, jaki Towarzystwo wywierać na naród postanowiło.

Z chwilą ustąpienia Prusaków, zaświtała dla Towarzystwa jaśniejsza doba.

Z Ustawy zniknęła niemieczyzna, z listy członków usunięto nazwisko niemieckich urzędników. Towarzystwo otrzymało od Fryderyka Augusta tytuł: „Królewskie” i przeniosło się na Kanonię do domu, który ofiarował mu Staszic.

Ten ostatni, po śmierci Albertrandiego, został prezesem Towarzystwa—prezesem najczynniejszym i najofiarniejszym z trzech, którzy uczonemu zgromadzeniu przewodniczyli.

Nowy monarcha przyjął pod swą naj-

wyższą, „królewską” (stąd tytuł) opiekę Towarzystwo „ze wszystkimi, weń wchodzącymi osobami, w państwach jego obecnymi, lub z jakiego względu do państw tych należącymi,” a zarazem „ustawy Towarzystwa, oraz wszystkie jego ruchome i nieruchome własności.”

Jak człowiek, który poczuwszy pewniejszy grunt pod stopami, myśli o gromadzeniu zasobów, tak i Towarzystwo, we własnym domu osiadłszy, jęło się tworzenia zbiorów naukowych. Ci i owi członkowie śpieszyli z ofiarami. Sapieha, Łuba i dr. Lafontaine obdarzyli instytucję dziełami naukowymi, które utworzyły zaczątek biblioteki; Staszic przyniósł jej w ofierze piękny zbiór minerałów; generał Dąbrowski oddał swą zbrojownię, a obywatele kraju całego prześcigali się w nadsyłaniu pamiątek historycznych i archeologicznych, oraz rzadkości wszelkiego rodzaju, które utworzyły wkrótce zasobne i pouczające muzeum.

Dom na Kanonii, darowany Towarzystwu przez Staszica znajdował się wprost Dziekanii.

DN

WIKTOR GOMULICKI.



Coś o gospodarstwie i gospodyniach.

Chleba powszedniego nie zabraknie, bo żyto dojrzało pięknie i okazuje się podsypnem. Poprawiły się pszenice, a wcale dobrze zapowiada się urodzaj jęczmienia i owsa. Kartofli pod krzakami obfitość, a dorodne! Może tylko braknąć oleju (aby nie głowach), bo letnie rzepaki liszki zjadły.

Amatorowie pokrzywki skórnej mogą używać na malinach, boć są tacy szczęśliwcy, którym od poziomki i malin nos i policzki puchną.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże działuło staruszek...

„To ładne—to bardzo ładne... Ty, hultaju, takbyś nie napisał!”—upominał sędziwy nauczyciel w jednej ze szkół prowincjonalnych...

„A gdzie to sad taki, panie profesorze, bo- byśmy poszli?”—odzywa się jeden z wisusów...

„O hultaju, poczekaj, ja ci dam! A szkodnik, proszę ja pana! Dostaniesz promocję, to pojedziesz na gruszki, nicponiu beczny.”

Czas ogórkowy ma choć tę wielką zaletę, że choć piecze ludzi w mieście, ale gromadzi do stodoł chleb powszedni, a dziatwie daje wypoczynek i używanie na zdrowej rzeczy, bo owocach...

Kiedyż dojdziemy do tego, żeby w miastach większych owoc był dostępny dla najuboższych? Dziś dostawiają go nawet z miejsc odległych do Warszawy. Idą pełne wagony z koskami porzeczek, agrestu, malin i wiśni. Ale co na miejscu kosztuje złotówkę, w Warszawie płaci się rubla, a nawet wyżej.

Patrząc na marnujące się stopy letnich jabłek przed budami sadowników, widząc sprzedawane za beczek kosze drobnych owoców, dziwić się trzeba, czemu nie rozwija się na szerszą skalę fabrykacja win owocowych, jabłecznika i wszelkich konserw, które tak zdrowy i smaczny stano-

wiłyby nabytek dla kuchni, ograniczając się w miastach przeważnie mięsem i jarzynami...

Towarzystwo ogrodnicze, początkując wiele pożytecznych rzeczy, powinno zwrócić uwagę właścicieli sadów na

przetwory owocowe.

Co z owoców potrafi robić Francya? co robią południowe gubernie cesarstwa? Dawniejsze gospodynie celowały w przyrządzaniu wiśniaków, maliniaków, dereniaków, jabłeczników i t. p.

Słyszymy o niewiastach, które to potrafiły:

Ziele tatarskie w cukrze, skórki cytrynowe
Smażyć każde osobno—i pomarańczowe;
Potrzebna to rzecz w domu mieć dla małżo-
[neczka,

Użyteczna dla gości, swego żołędzka.
Nie wstydać się, nie mówić: „Nie mam czem
[częstować!”

Trzeba się wczas, gościwa pani, przygotować!

Gdyby obecny małżonek, choćby nawet literat, pragnął szukać nastroju w tak przednich specjalach, umiałby udać się do piśmiennictwa kulinarnego, i raczej myślał niż podniebieniem recytować wyczerpaną twórczość. Cóż dopiero mówić o dzieciakach, dla których stokroć lepszą delicją i zdrowszą byłby sok, komput, serek owocowy, smażona śliwka, lub gruszka, niż ciastko lub za spory grosz kupowane słodycze!

Ale cóż... należałoby stworzyć nowy rodzaj piśmiennictwa. Należałoby zalecać „flirt malinowy,” „serenadę jabłeczną,” „symbol ananasowy,” „nowelę poziomkową,” „macédoine feministyczną” z renklodów, małgorzatek i głogu, „ekstazę w borówkach,” „nastrój z wina porzeczkowego,” „dekadentyzm w śliwkach suszonych” i t. p.

Może zjawi się jaka Adelajda Półkorzec—i podobny „upominek” dla nadobnych gospo-
napisze.

✱

Dzieła Oskara Kolberga.

„Dzieła poważne nie znajdują u nas pokupu.” Zdanie to było wygłoszone przed laty i bywa głoszone corocznie przed sezonem wydawniczym. Słuszność tego twierdzenia aż bije w oczy na widok zalegających półki księgarskie dzieł t. zw. poważnych, oraz ledwie dyszących czaso-

pism mniej popularnych. Ale przyznać trzeba, że ceny książek niebeletrystycznych były u nas wogóle za wysokie. W ostatnich dopiero czasach przekonano się, że można sprzedawać książki tanio i... żyć z tego. Nie więc dziwnego, że Kolberg prędko poszedł w zapomnienie, w Warszawie bowiem na palcach policzyćby się dało ludzi, którzy komplet jego dzieł mają. Możeby nawet palców u rąk obu okazało się za dużo. Nadto niezasłużenie posiadał ten niestrudzony pracownik epitet „za specjalnego.” Epitet najszkodliwszy. Tymczasem weźmy do ręki pierwszy lepszy tom z prac zgasłego pisarza. Znajdziemy przystępnie a barwnie podany zbiór, za pomocą istic benedyktyńskiej pracy dokonany, obrzędów i pieśni (słowa i melodye), zwyczajów i obyczajów, podań i wierzeń ludu naszego z różnych okolic kraju: rzeczy zarówno niezmiernie ciekawe i pouczające, jak potrzebne. Należy wreszcie poznać ten lud, o którym się tyle dziś mówi i pisze. Jedy- nym zaś prawie podręcznikiem w tym kierunku są dzieła Kolberga.

Zasługą więc niemałą spadkobierczyni dobrze zasłużonego krajowi zbieracza jest dążność do rozpowszechnienia tych prawdziwych skarbów ludoznawstwa. Prace Oskara Kolberga po wielu trudnościach sprowadzono z Krakowa (gdzie były zaareztowane przez drukarnię uniwersytecką za kilkaset guldenów wynoszący dług drukarski autora—naprawdę!) do Warszawy w celu ich sprzedaży za możliwie zniżoną (do połowy i do trzeciej części) cenę. Nadto ma być ogłoszona tania prenumerata wszystkich dzieł, wymienionych poniżej; można będzie również je nabywać tomami oddzielnymi, stanowiącymi całości odrębne. Trudno o większe ulgi, trudno też będzie wyrze- kać na nieprzystępność wydawnictwa.

Dla przypomnienia podajemy tytuły dzieł rzeczowych; składa się na nią 33-tomowy cykl pod napisem „Lud,” rozpadający się na działy p. t.: „Sandomierskie”—1 tom; „Kujawy”—2 tomy; „Krakowskie”—4 t., „Poznańskie”—7 t., „Lubelskie”—2 t., „Kieleckie”—2 t., „Radomskie”—2 t., „Łęczyckie”—1 t., „Kaliskie”—1 t., „Mazowsze”—5 t., „Pokucie”—4 t. i „Chełmskie”—2 t., tudzież jednotomowe „Pieśni ludu.”

Sądźmy, że przytaczając szczegóły powyższe, oddajemy dobrą przysługę czytelnikom naszym.

✱

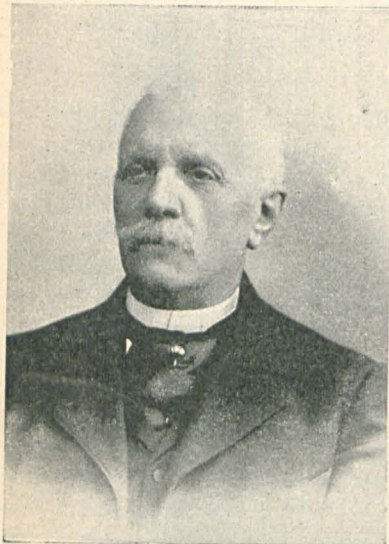
Ś. p. Józef Brodowski.

W dniu 8 b. m. liczne grono artystów i przyjaciół odprowadziło na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ś. p. Józefa Brodowskiego, popularnego w swoim czasie twórcy „Radziwiła Panie Kochanku,” „Orzającego Mohorta,” „Bitwy pod Beresztce-kiem” i tylu innych z przeszłości branych frag- mentów.

Z Brodowskim schodzi do grobu jeden z czyn- niejszych i żywotniejszych przedstawicieli niedaw- nej wprawdzie—bo zaledwie czterdziestu latami od chwili obecnej oddzielonej, ale już do historii należącej epoki; z działalnością jego kojarzy się

wspomnienie pionierskiej pracy pierwszego zastępu uczniów założonej w 1844 r. warszawskiej szkoły sztuk pięknych.

Ciekawe to były czasy, na których tle po raz pierwszy w malarstwie naszym dostrzega się wspólny cel, wspólna dążność, wyrażona w zbiorowej pracy ówczesnej młodzieży artystycznej. Za wpływem pocziwego profesora Piwarskiego, a więcej jeszcze może z bezwiednego impulsu, kilkunastu uczniów tej szkoły z zapałem młodości rzuciło się ku uprawie niwy, odłogiem prawie leżącej, a niwą tą był kraj własny, którego gruntowne poznanie i plastyczne odwzorowanie jego piękności stało się celem szlachetnego tego grona. I gdy w sto-



Józef Brodowski.

licy Francji Rodakowski zdobywa sobie najwyższą nagrodę, a z nią razem pierwszy liść wawrzynu dla malarstwa polskiego, gdy uznany w ogniskach artystycznych Europy zachodniej Piotr Michałowski popularyzuje wśród obcych imię polskiego

artysty, daje się odczuć w łonie naszego społeczeństwa pewien ferment, pewien ruch w kierunku estetycznych pragnień, a powoduje go mrówcza praca pokolenia, które wydać miało w następstwie sztuce naszej: J. Kossaka, Gersona, Pillatiego, Kostrzewskiego, i do którego Józef Brodowski, jako jeden z wybitniejszych, należał.

Brodowski zbratany był ze sztuką od kolebki. Ojcem jego był Antoni Brodowski, długoletni profesor malarstwa w uniwersytecie warszawskim, najpoważniejszy przedstawiciel klasycznego u nas kierunku; brat zaś jego starszy, Tadeusz, zmarły przedwcześnie w 1847 r., również był malarzem i rokował nawet duże nadzieje. Urodzony w 1828 r. Józef Brodowski z ogniska rodzinnego wyniósł tradycję zawodu, któremu po ukończeniu gimnazjum miał się poświęcić. W 1844 r. zapisuje się do szkoły sztuk pięknych i tę w 1848 kończy, a że należy do zdolniejszych jej uczniów, wraz z W. Gersonem i Fr. Tegazzem otrzymuje rządowe stypendium i udaje się do akademii petersburskiej. Wpływ brata Tadeusza i jeszcze może więcej Ignacego Suchodolskiego widocznym jest już w pierwiastkowych utworach Brodowskiego. Specjalnością jego staje się koń, tłem jego licznych kompozycji życie szlachecko-wojskowe zesłowieczne.

Kilkoletni pobyt w Paryżu pozwala młodemu naówczas artyście zbliżyć się do Horacego Vernet'a, a równocześnie zawrzeć przyjaźń z Juliuszem Kossakiem.

Około 1859 r., zwiedziwszy jeszcze poprzednio Włochy, osiada Józef Brodowski w Warszawie i zaczyna swą samodzielną pracę szeregiem obrazów, które w krótkim czasie czynią imię jego popularnem wśród szerszych warstw społecznych. W 1863 r. wspólnie z Kossakiem maluje „Jana Kazimierza w bitwie pod Beresteczkiem,” ilustruje kilkakrotnie postać Polowską Mohorta, wystawia epizody bitew, pochodów, sceny rodzajowe na tle saskich i Stanisławowskich czasów, wreszcie stada końskie, lub pojedyncze figury koni i bydła. Działalność ta trwa nieprzerwanie przez lat z górą czterdzieści, i dopiero niemoc wytrąca pendzel z ręki sędziwego malarza.

Brodowski, wierny duchowi czasu, malował swe liczne obrazowe kreacje po największej części z pamięci, studiami bezpośrednimi natury posługiwał się rzadko, z konieczności więc obrazy jego w obecnej chwili noszą cechy powierzchownego traktowania i są raczej szkicami, doprowadzonymi do pozorów skończenia. Główną ich zaletą jest pomysłowość, znajomość epoki, z której czerpał treść, i duch starszozłachecki, wiejący z każdego, choćby najmniejszego jego utworu. Razem z Henrykiem Pillatim znajdzie on w historii malarstwa naszego zaszczytne miejsce w gronie, którego przewodnikiem moralnym pozostanie Juliusz Kossak.

„Tygodnik” nasz traci w Brodowskim długoletniego współpracownika z czasów, gdy po ustąpieniu Kossaka, kierownikiem artystycznym naszego pisma był Franciszek Tegazzo; na szpaltach jego znaleźć można nie jedną ilustrację, świadczącą, że i na tem polu Brodowski pozostawił ślady swego talentu.

hp

Ś. p. Brygida Zanowa.

Dnia 7-go b. m. w Poniemuniu w pow. Maryampolskim, w majątku swego syna, nad Niemnem, zmarła w sędziwym wieku ś. p. Brygida ze Świętorzeckich, wdowa po Tomaszu Zanie, przewodniku młodzieży wileńskiej, przyjacielu Mickiewicza i jego koledze od chwili pierwszego egzaminu konkursowego po wstąpieniu do uniwersytetu. Ojcem jej był prezydent powiatu Wilejskiego, Stanisław Świętorzecki, nieżyjący już w chwili poznania się przyszłych małżonków, które nastąpiło w Oborku, w pow. Oszmiańskim, w Wielki Wtorek 1842 r., wkrótce po powrocie 46-letniego Zana do kraju.

Już wówczas, witany „jak gdyby przybysz z innego świata,” uznał ją za „aniola, który młodość mu przypomina,” za „bóstwo, które sędziwość miłszą mu przepowiada.” Nie omylił się, a pierwszym dowodem szczerego i głębokiego jej uczucia było przetrwanie czteroletniej próby oczekiwania na ślub, który dopiero w dniu 10 listopada 1846 roku w Lebidziewie połączył ją z ukochanym.

O szczęśliwym ich życiu świadczą listy Tomasza: w każdym z nich niemal jest wzmianka „o ślicznej i słodko dźwięcznej towarzysze” (z powodu pięknego jej głosu), o „mojej rajczyńi,” „lustratorowej” (Zan był czas jakiś lustratorem dóbr w pow. Lepelskim), „rodzicielce i karmicielce Zanów” i t. d.

Wspólny szczęśliwy żywot trwał nie-

długo: dnia 7-go lipca roku 1855-go, podczas pobytu w Kochaczynie w pow. Orszańskim, ś. p. Brygida została wdową. Odtąd aż do śmierci pielęgnowała pamięć zasłużonego męża i przechowywała ze czcią wszelkie po nim pamiątki.

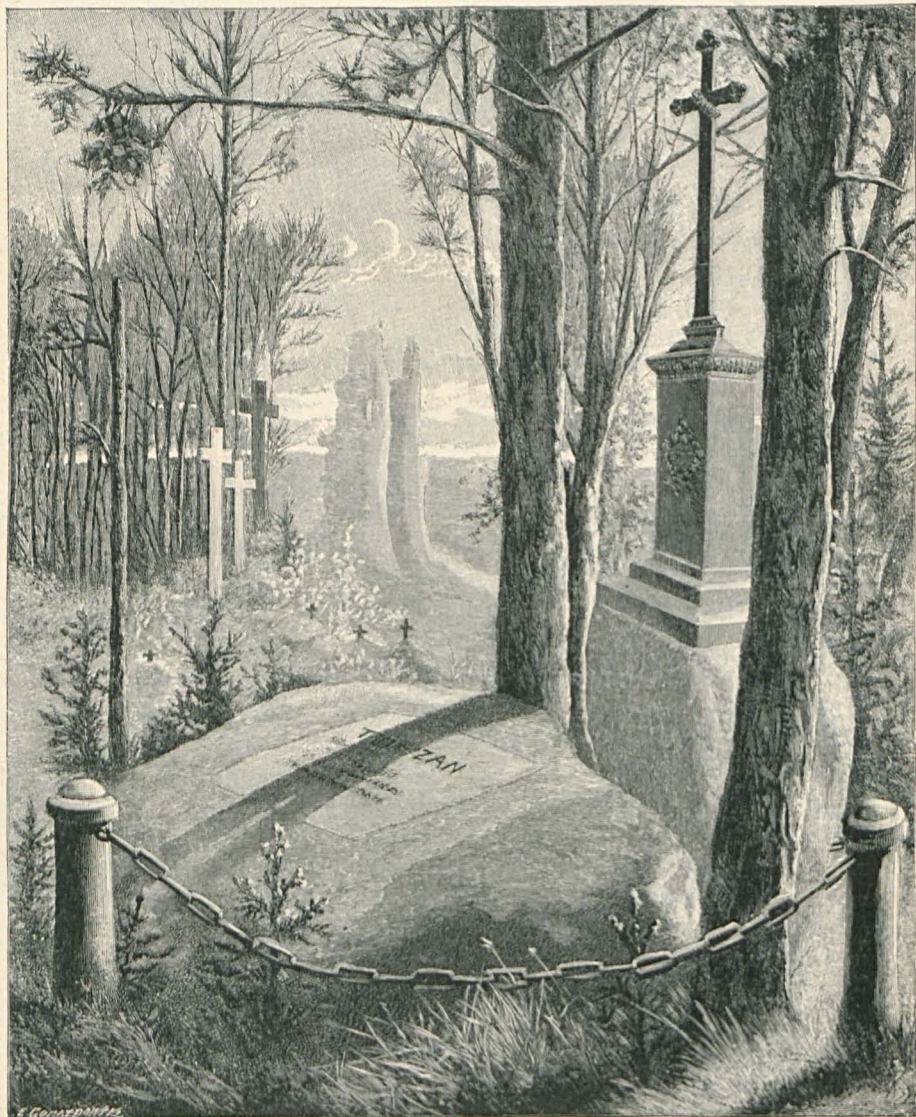
Ma być pochowana w Smolanach, w parafii Kochaczyńskiej, obok zwłok swego małżonka. Na kamieniu nagrobnym znajduje się tam napis: „Miły Bogu i ludziom Tomasz Zan, którego pamiątka jest w błogosławieństwie...” lk

PRZYGRYWKA.

„Serce wielkie, o „serce mi znane,” *)
Dziś tak już strute i żółcią zalane,
Że wzrok miłości tylko odkryć zdoła
Twa pierwobytną piękność Archaniola!
I takie gorzkie, tak nazewnątrz twarde
Przez bój z niedolą i k'podłości wzgardę,
Że tylko miłość w twojej piersi krwawej
Dostrzeże waru niezastygłej lawy!
Za to, żeś było tak bardzo z tej ziemi,
Żeś odczuwało jej wszelkich tętn bicie,
Że uczuciami płonął wszechludzkiemi,
Miałoś tak bujne, tak namiętne życie;
Żeś—pogardzając anielskimi loty—
Wżyło się w ziemię, w jej byt tytaniczny,
W jej pożądania, porywy, tęsknoty,
Rozkosz bez granic i ból bezgraniczny;
Za to, żeś ból ten i krwawe twe rany
Przed okiem mojem odkryło nieklamnie,
I żeś w dalekiej przeszłości świetlanej,
Niegdyś—raz jeden—uderzyło dla mnie;
Za to, że z ciebie źródło natchnienia czerpie,
Za to, com przez cię wycierpiał i cierpię—
Ja pieśń mej duszy i czoło me blade
Dziś z kornym hołdem pod stopy ci kładę.

ADAM M-SKI.

*) Słowa Krasńskiego.



Grób Zanów w Smolanach

rys. Roman Szwoynicki

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIELŁY.

16.)

Ha! ha!—śmiał się Skirgiello.—Niechże nam teraz bóg Kohma będzie łaskawy, iżby nas jadło nie udusiło, a trunek nie zalał...

Wziął dzban z piwem do ręki, powąchał i wzdygnął się.

— Może oni struć mnie chcą... — mruknął i krzyknął głośno:

— Skodzina!

Zaczerwieniona z pośpiechu, nadbiegła, bez lęku patrząc w dzikie oblicze księcia. Ona jedna nie bała się go i uśmiechała ku niemu.

— Co Wasza Dostojność rozkaże?—spytała.

On zaś zwrócił się ku niej i patrzył moment na nią wzrokiem, który zielonawe błyski ciskać począł. Usiadł i przyciągnął ją ku sobie, obejmując ramieniem. Tłustemi wargami cmoknął.

— He... he... tyś jest urodziwa! — mówił. — Także nie masz kości, ale na co ci one?... ciało białe masz, jak nasza nimfa leśna, Medziojna, albo rzeczna, Dugna! Nie, ty jesteś Milda... dajesz miłość, rozkosz... Ale ty może jesteś jędza, szkodliwa jędza—Gajla?..

Cisnął ją ramieniem tak mocno, że niedłwie łzy ciekły jej z oczu. Ale ona uśmiechać się nie przestawała, a chyląc głowę, oparła ją na ramieniu księżęcia, patrząc na niego przymilonym wzrokiem i rozchylając czerwone usta.

Ale Skirgiello odtrącił ją z nagłą i, podając dzban, rzekł:

— Napocznij go, iżbym wiedział, że alus dobry jest.

Z głośnym śmiechem Skodzina oburącz porwała dzban i do ust poniosła.

Księżę śledził uważnie, zali istotnie piła. Jej zaś niebawem tchu zabrakło, więc odejmując dzban i podając go księciu:

— Wyborne piwo! — zawołała — wyborne!

Teraz Skirgiello ujął dzban i pił chciwie. Z głuchym odgłosem przechodził mu napój przez gardło, a on poprawił się jeno na nogach, rozstawiając je szerzej, głowę coraz dalej wstecz podawał i łykał, dopóki trunku stało; potem dzban pusty przez plecy za siebie odrzucił.

— Siadajcie, żarłoczne psy!—krzyknął—siadajcie, jedzcie i pijcie, bom ja jest dobry kniaź... he! he!

Na Skodzinę już nie patrzył, rozparł się na ławie, pas odpiął i precz odrzucił, płaszcz sobolowy szarpnął, kłamrę srebrną rozerwał i, cisnąwszy w górę, zawołał:

— Dobek łapaj, będzie twój!...

Dobek, który oparłszy się o ścianę, drzemał znużony, porwał się z nagłą, płaszcz złapał w powietrzu, ale, poślizgnąwszy się, razem ze zdobyczą na ziemię padł.

— Przepadło!—śmiał się kniaź:—nie dostaniesz płaszcza, ale możesz dostać w gębę na pocieszenie. Teraz chodź tu i baw, kpie, bom smutny.

Dobek wstawał powoli i z miną ucieszną szedł, kulejąc i trzymając się za kolano.

— Hu! hu! hu!—jęczał, udając, że płacze.

Skirgiello zaś, który go lubił, patrzył na niego mniej chmurnemi oczyma.

— Chodź-no, — rzekł — ja ci ły obetrę..

Ale Dobek nie kwapił się. Przyodział się w płaszcz księżęcy, przestał jęczeć i uczynił minę bardzo pyszną.

— Dobry jest płaszcz, — mówił — bo nie z cudzej krzywdy. Stłukłem kolano, ale upolowałem sobola...

— Oddaj płaszcz, błaznie! — wrzasnął kniaź i już się porywał ku niemu.

Ale Dobek począł uwijać się po izbie, a potem z nagłą na ławę przy stole wyskoczył i w piszczałkę przeraźliwie zadął, potem zaś krzyczał:

— Wszem wobec wiadomo czynię, iż oto miłościwy nasz księżę ze mnie błazna uczynił pana, a teraz sprawi drugi cud: z pana będzie czynił błazna...

I zdjął z siebie sobolowy płaszcz, oddając go księciu, który śmiał się, patrząc na ucieszną minę Dobka:

— A to mu nos w górę poszedł, że aż kiszki widać!...

— Sprawiedliwe słowo—odparł Dobek:—to tak z umysłu, iżby pan mój i księżę widział, że kiszki puste, jeść chcą i pić...

— Weź dzban i chlaj...

Dobek się skrzywił.

— Każ dać, księżę, wina, i to mocnego, kiedy chcesz, iżbym błaznem był... bo to powiadają, że wino mocne i białogłowa grzeczna i z najmądrzejszego błazna uczynią... Każ przeto, księżę, wina dać, bo zmądrzeję i smutny będę..

Skirgiello pięścią w stół grzmotnął.

— Wina!—rozkazał.

Przyniesiono wino; pił Dobek, pił i księżę, na rozkaz pili kompanowie wszyscy, ale wesołość nie chciała przyjść. Skirgiello, zjadłszy mięsiwo, pochłoniął misę galarety rybiej z octem, zalał to znów piwem, potem konfekt gryzł, a wciąż użalał się, że mu czczo. Oprócz Dobka, który ciągle gadał, milczeli wszyscy, wiedzieli bowiem, że dziś za jedno niezręczne słowo można było łąco głowy się zbyć.

A to milczenie ciążyło kniaziowi. Opały go ponure myśli; czasem głowę opuszczał na piersi i mruczał:

— Witold pies... wszystko chce wziąć... wściekły pies!... Gdyby nie Jagajło... i ta boska pani... Jadwiga... Och!...

Porwał się nagle i wrzasnął:

— Milczycie, psy, jakby wam kliny kto w gębę powbił!... Grać, śpiewać!... no!

Dobek uchwycił za swoją gęśl, ale kniaź siedzieć mu kazał.

— Beczysz, — rzekł — jak nieoblizane ciele... Nie chcę! Niech Litwin gra... Niespech!... sam tu!

Wstał z ławy młodzianek o twarzy bladej, okolonej długimi, jasnymi włosami, które mu w zwojach na ramiona spadały. Miał rysy piękne, jak dziewczęce, a w oczach dużych, błękitnych, wyraz ciągłego smutku. Gdy je do góry wznosił, to zdawały się pływać w łzawej mgle.

Wstał i, zbliżywszy się do księcia, usiadł u jego stóp. Potem zdjął przewieszoną przez plecy cytarę i z lekka dotknął jej strun, które wydały ciche, przeciągły dźwięk. Gdy ścichł, Niespech podniósł wzrok na księcia i przemówił:

— Niech cię, panie, otoczy swą łaską bogini szczęścia, Pilwite!...

I znów trącił o struny, a potem uniósł wyżej cytarę i zakreślił korbą, znajdującą się u jej spodu. Cytara wydała teraz głośne, brzęczące dźwięki, a Niespech śpiewał:

— „Gonię ja, gonię za tobą, Pilwite. I po łądach, i po morzu... Nie mam wprawdzie pysznych łodzi, ani skrzydeł mi nie dano... Za blaskiem się twoim uganiam...”

Skirgiello słuchał z pochyloną głową i szeptał:

— Pilwite!... o, Pilwite!...

A Niespech grał i śpiewał dalej, coraz rzewniej:

— „Kto ma twą, o Pilwite! łaskę, drogą dla człowieka, ma złotą, gdyby kamieni, ma pełną żyta stodołę, ma sławę u całego świata!...”

— Sławę u całego świata!... — krzyknął nagle Skirgiello, porywając się i odtrącając cytarystę. — Ja jej nie mam... będzie ją miał Witold... ten, który mi wszystko chce wziąć. Pilwite wszystko mu odda, dla mnie nie ostanie nic!

Oparł się o stół obiema rękoma i błędnym, nieprzytomnym wzrokiem rzucał na towarzyszy swoich.

— Powiedzcie, co?—wrzeszczał.—Witold wszystko ma... On ma, wściekły pies! Przeklęta Pilwite... przeklęta Pilwite! Krzyczcie, że przeklęta!

Było to oznaką największego upicia się, gdy księżę zaczynał swoje dawne bożyszczę pogańskie przeklinać. Zabobonny strach przejął całą jego drużynę, spoglądano na siebie w przerażeniu; on zaś także trząsł się z lęku, ale mówić nie ustawał, wywołując coraz to nowe nazwy bożyszcz i klnąc.

— Ha! ha! — krzyczał — wy nie wiecie, a ja wiem. Bom już raz był na tamtym świecie... na wschodniej ziemi... i widziałem wszystko... Tam pusto... pusto! Wylazłem na niebotyczną skałę Anafielas i przejrzałem cały świat od końca do końca... Zagasło

słońce, Sotwaros odwrócił się, ale ja miał taki ogień w sobie, że sam szerzył światło... Wyszedł naprzeciw mnie wściekły Poklus, chciał mścić się... miał twarz Witolda i krzyczał na Perkuna, iżby mnie strącił i ubił... Ale Perkun nie słyszał, bo go nie ma! nie!...

W drużynie coraz większy strach. Niektórzy zrywali się od stołu, zbladli, drżący, szepecząc:

— *Dewe Perkune, apsaugog mus!*... ulituj się, oszczędź nas!

Niespech przypadł twarzą do ziemi, jakby w oczekiwaniu ciosu gromowładnego boga.

A Skirgiello, patrząc na ten popłoch, czuł także w sobie coraz większy lęk, który go bezprzytomnym ogarniał szaleńcem.

Począł biegać po izbie, machając rękoma, jakby z widmem walczył.

— Precz! precz!... — powtarzał.

Nagle podbiegł do stołu, chwycił dzban piwa oburącz, do ust podniósł i pił jednym tchem do dna. A potem osunął się ciężko na ławę, i ukrywając twarz w dłoni, dyszał.

Wiedzano o tem w drużynie, że po takim gwałtownym wybuchu, książę stawał się nagle miękki i łagodny, że go ogarniała skrucha i żal za wyrządzone ludziom krzywdy i przeciw bogom pogańskim wyrzeczone bluźnierstwa.

Jakoż niebawem Skirgiello odjął ręce od twarzy, powiódł wzrokiem dokoła, jakby przypominał sobie, a potem spytał z cicha:

— Niespech, gdzie Krystyn?

Cytarzysta odrzekł nieśmiało, z wahaniem, że Krystyn leży chory.

— Bardzo? — spytał książę.

— Kość w ramieniu mu pękła — odpowiedziano.

— Poskładałam mu jutro te głupie kości... poskładałam! A teraz zanieście mu jadło, zanieście dużo, niech ma, i powiedzcie, że mi żal... Tak, żal... bom ja jest krześcijanin... i... i...

Strzymał się moment, a potem znów wybuchnął:

— Ze wszystkich bogów pogańskich kpie!...

Spełniono rozkaz księcia i wynoszono misy z jadłem dla Krystyna, ale on jedną, gdzie była galareta z ryb z octem do siebie przysunął i począł jeść chciwie.

— Śpiewaj teraz! — rzekł znów do cytarzysty. — Albo nie! opowiadaj co... jak ty to umiesz, opowiadaj o mileńkiej, o Lethui...

Niespech usiadł na dawnym miejscu i, podniósłszy oczy w górę, począł mówić głosem stłumionym, a przeciągłym i tęsknym:

— W zamku ogromnym na północy, Murgow zwanym, mieszkała mileńka Lethua... Piękna była, jak Jutrzenka, promienna, jak Słońce, dobra, jak Milda. Na kogo spojrzała, był szczęśliwy i wolny. Gdy Księżyc poślubił Słońce, stała się tak cudna wiosna, i tyle było szczęśliwości w ziemi Lethui, że zazdrością zapłonął podziemny Poklus...

— O... o!... — mruknął Skirgiello, ocierając dłonią usta — Poklus... Witold... pies! Cóż on uczynił?

— Wziął na siebie postać miłostnego czarownika i jako Mildawnikas przybył do małżonka Lethui, Trinetas, i począł go kusić, a także córkę Lethui, cudną Dali.

— Chytry Poklus! — wtrącił Skirgiello, jedząc znowu.

— Zniknął dnia jednego Trinetas, zniknęła i Dali... Stał się pierwszy dzień nie-szczęścia w ziemi Lethui. Pierzchnęła wiosna z tej ziemi. Zapłakała córka Słońca, Jutrzenka, zapłakała i mileńka Lethua kroplami czystego złota. Przez trzy lata zbierała liście, powiędłe liście zbierała, czekając na niewiernego małżonka...

Skirgiello przestał jeść, łokciami na kolanach się oparł, i utkwivszy wzrok w twarz Niespecha, z ogromnem zajęciem słuchał.

— I nie wrócił Trinetas?... nie wrócił?

— Poklus go trzyma pod ziemią, razem z piękną Dali, a Lethua tuła się wszędzie, szukając. Przez szerokie przestrzenie pomyka na brylantowym wozie przez dziewięć białych kotów ciągnionym. I była u jeziora, do którego dziewięć rzek wpada, i była w rajskim ogrodzie, kędy dziewięć róż wieczyście rozkwita, ale nie znajdzie umiłowanego, aż gdy nadejdzie dzień, w którym dziewięć słońce zaświeci. A nim on najdzie, rozpacz i smutek panują w krainie Lethui; odkiedy ujechała, niema tam wolności i szczęścia niema!...

Tracił Niespech z lekka o struny cyтары i z opowiadania przeszedł w cichy śpiew:

— „Mileńka Lethua! Mileńka Lethua... Skryłaś się w niebios przestrzenie!... Gdzież ciebie szukać? Czyż już tylko na łonie śmierci? Pot pracy, krew serdeczna zalała ziemię obszerną! Mileńka Lethua, zejź z nieba, użał się!...”

Cichł śpiew Niespecha, a do izby poczęły wkradać się pierwsze szare brzaski. Książę oparł się o stół, głowę pochylił i zdawał się drzemać. Dokoła stołów na ławach cała jego zmordowana drużyna usypiała.

Mały Miotko rzekł z cicha do Dąbrowy:

— Teraz uchodźmy... napatrzyliśmy się do sytu, a szczęście, że nas nie dostrzegł ten dziki poganin...

Dąbrowa dygotał.

— Krew mi skrzepla w żyłach, — mówił — a był taki moment, gdy ten książę oszalał po izbie biegał, iżem z życiem się żegnał... Cud prawdziwy, że nas w naszym kąciку nie nadybał...

— Oślepił z pijaństwa! — dorzucił Miotko.

Wysunęli się z kąta izby i, z przestraszeniem patrząc na śpiących, szli na palcach, dech tłumiąc, ku drzwiom, gdy nagle tam przystanąć musieli.

Bo oto w tym momencie ozwały się z wieży Maryackiej trąby i flety cudowną muzyką na powitanie jutrzeńki.

Skirgiello ocknął się i zerwał z miejsca:

— Słyszycie! — krzyknął ku towarzyszom swoim swoim — słyszycie? bogini zaranna różowymi palcami otwiera już bramę wschodu i zapala pochodnię słońca... Na nogi! wstawajcie!

Porwali się wszyscy, a książę począł po krześcijańsku żegnać się.

— Kto z was — rzekł po chwili — nosił biały kaftan krzestny, niech powtarza za mną.

Zwrócił się ku wschodowi, nogi szeroko rozstawił, ramiona wyciągnął ku niebu i z wolna wygłaszać począł Modlitwę Pańską po litewsku:

— *Tews mus, kas ekas Debbesin; sweti slajn taws Wardas...*

Skończywszy, wychodził w milczeniu, posępny. Zawracała mu się snadź głowa, bo na nogach się chwiało, a przy samych drzwiach zatoczył się i stojących tam a spłoszonych Miotka i Dąbrowę potracił.

— Ho, ho! — rzekł — a to co za szczury dwa, co pod ścianą biegają?

Obaj młodziankowie, jeszcze mniejszymi usiłovali się uczynić, ale książę pochylił się i przyglądał się im krwią nabiegłymi oczyma.

— Uciekajcie! — szepnął ku nim Dobek — a rychło, jak Cygan na skradzionym koniu...

Jakoż Dąbrowa pod ramię księcia wymknąć się chciał, ale ten go wnet pochwycił jedną ręką, drugą zaś ujął Miotka za kołnierz i obu podniósł do góry.

Śmiał się w głos; był kontent.

— A tom sobie niechający dwa kurczątka ułowił! Będzie na śniadanie... A ty — mówił do Dąbrowy — czemu się tak kurczysz, jak skóra od ognia?

Pchnął nogą drzwi, że się naścieżają rozwarły, i obu przez nie wyrzucił, krzyząc:

— Biegajcie naprzód, mgłę przede mną zmiatać!...

Ci zaś, żywo zebrawszy się z ziemi bez szwanku, umykać poczęli co tchu.

— Dobek! — wrzasnął Skirgiello — łapaj ich! trzymaj!

Dobek podbiegł i, wskazując w dal mroczną, ramiona roztworzył:

— Łódką po mgłę umknęli — odparł — bez śladu...

Ranek był bardzo mroczny. Z góry nawała spadała ciężka, szara mgła i rozsnuwała się pasmami po ziemi. Chłodne powietrze przeniknęło księcia, który dygotał, a czuł, że mu się głowa zawraca.

— Łódką, powiadasz umknęli — belkotał — cha! cha! lżesz! jaką łódką?... Mnieby się jaka kolebka, abo pałuba przydała... Przekłęte piwo w nogi wlażło...

Dobek dał znak. Dwóch z drużyny podeszło i ujęło księcia pod ramiona. Ten zaś rozparł się na nich, jak na wozie, i szedł zwolna, głowę wznosząc do góry.

— Dobek! — zawołał — zapisz-no na swoich dudach, a ty, Niespech, śpiewaj... Niech znają w mieście, że książę litewski jedzie...

Ale Dobek, który pana swego dobrze znał, nie brał się do grania, jeno odparł z cicha:

— Grałbym z serca, ano boję się.

— Nie bój się nic i graj!...

— Dzwony biją... — ciągnął Dobek — królowa najjaśniejsza na mszę poranną już idzie... Królowa! — powtórzył z naciskiem.

A Skirgiello drgnął całym ciałem, głowę pochylił i kołpak z niej zdjął.

— Jasna... jasna królowa!... — szeptał.

Szedł już w milczeniu, a chwilami wzdychał.

Tymczasem z wieżyc krakowskich rozjeżdżały się dzwony wszystkie. W wilgotnej mgłę porannej rozchodziły się ich dźwięki stłumione, drżące, przeciągłe echem, gdy Skirgiello powolnie i cicho wchodził do zamku, zaleknionym wzrokiem rzucając dokoła, czy też królowej nie spotka.

— Jadwiga!... — powtarzał szeptem. — Jadwiga!

I do Dobka, który pomagał służbie uło-

żyć księcia na spoczynek w komnacie, ozwał się jeszcze znużonym głosem:

— Jagajło szczęście ma... o, ma! Królem jest, i Jadwiga, taka cudna i dobra, przy nim... Więc i on dobry jest... A Witold? Och, wściekły pies!... Troki weźmie, a pewno w Wilnie panować będzie... Ja zaś... co ja?... Zginę... sam!...

I tak żałącego się ogarnął sen.

VII.

Nadszedł wreszcie upragniony przez Spytka dzień 4 marca, przeznaczony na koronację i gody weselne Władysława.

Pięknie stało się na świecie, a tak słonecznie i ciepło, jak w lipcu. Od wczesnego rana, w promieniach wiosennego słońca snuły się tłumy po ulicach miasta ciekawe, rozbawione, gwarne. Ale strażnicy miejscy i żołnierze czynili wśród tych tłumów porządek, szykując je w szeregi i strzegąc pilnie bram katedralnej świątyni, kędy nikomu prócz dostojnych panów i szlachty wejść dnia tego nie było wolno; starodawnym bowiem obyczajem, jeno świeccy i duchowni dostojnicy, oraz rycerstwo w obrzędzie koronacyjnym króla mogli udział mieć.

Przez otwarte jeno naścięzaj bramy widzieć mogły ściśnięte tłumy przechodzącą zwolna z zamku do świątyni katedralnej wspaniałą procesję. Przodem szli tedy w olbrzymim szeregu rycerze zbrojni i panowie, dalej przesunęli się przed oczyma ciekawych duchowni: opaci i biskupi w strojach pontyfikalnych, za nimi zaś arcybiskup gnieźnieński Bodzanta i kardynał Dymitr, arcybiskup strygoński, który świetną purpurą swą i wzrostem olbrzymim powszechną ścigał uwagę. Dalej, osobno, szedł siwowłósy pan krakowski, Dobiesław, i w drżących ze starości ręką dźwigał z trudem ciężką, złocistą koronę, której dyamenty rzucały dokoła oślepiające blaski. A gdy tak szedł zwolna, z głową pochyloną, ociężałym krokiem, ktoś nagle krzyknął z tłumu:

— To nie piastowska korona!... Na pogańską głowę nowa!... z Żydowinów ręką! Jaka korona, taki i król!

Żachnął się pan krakowski i dumnie głowę wznosił, a idący za nim wojewoda Spytko, który berło dzierżył na aksamitnej poduszce, bystro w tłum rzuciwszy okiem, dojrzał tam wykrzywione szyderstwem oblicze Pawła Gryfity. Nie rzekł nic, jeno pogardę we wzroku mu cisnął.

Ale i w tłumie przeciw Gryficie podniosła się wrzawa.

— Jak on śmie! — wołano z oburzeniem — gołota! precz z nim!

On zaś bronił się, mówiąc:

— Wyrzucicie mnie stąd, to ja do kościoła pójde, bo prawo mam, którego nie zaprze mnie nikt. I tam wołać będę, jako ów wspaniały kardynał węgierski winien był przywieźć nam to, co król Lois bezprawnie wziął: koronę naszą prastarą, jabłko i berło... Aleć dla Jagajły i takie dobre, nowe a lśniące — nieważne!

Z trudem nakazano mu milczenie, i stała się wielka cisza, bo oto za tymi, którzy godła monarsze nieśli, i za rycerzem, który szczerbiec Chrobrego dźwigał, ukazał się baldachim złocisty, a pod nim ujrano królowę

w koronie, ozdobionej andegawęńskimi liliami z brylantów.

Jadwiga postępowała zwolna, z oczyma wzniesionymi ku niebu, jakby nie widząc i nie słysząc nic... Z jej oblicza krew wszystka zbiegła do serca, usta blade poruszały się lekko, powtarzając słowa modlitwy.

Obok niej szedł Władysław z obnażoną głową. Na białej albie, miał złocistą tunikę i dalmatykę bogatą, na plecach zaś długi płaszcz purpurowy aksamitny, gronostajami obszyty. Na jego ścigłem, ogorzałem obliczu znać było wielkie pomieszenie; długą szyję wyciągał i z podłba rzucał niespokojne dokoła spojrzenia. Widocznie śpieszył się, rad byłby ową ceremonię skończyć co rychlej, bo coraz to wyprzedzał Jadwigę i cofać się musiał.

— Ha! ha! — mruknął Gryfita do stojącego obok Gniewosza, który także do kościoła iść nie chciał — boi się poganin, iżby z pogodnego nieba Perkun litewski gromem w niego nie trzasnął i nie ubił w tej kapłańskiej dalmatyce, nim jeszcze koronę weźmie...

— Cichaj! cichaj! — odparł Gniewosz szeptem. — Weźmiemy my lepszą pomstę i na nim i na wszechwładnym Spytku, który tu na nas tak patrzył, jakby już sam królem był... Za to ubije go jutro, pojutrze na turnieju Jan z Münsterberga...

Gryfita zębami zgrzytnął:

— Zdarz to mocny Bóg!... — szepnął.

Dłużej mówić nie można, bo w tym momencie zabrzmiały trąby i kotły, a przez otwarte podwoje kościelne rozpląnął się w powietrzu głośny, choralny śpiew.

Pan Gniewosz, świadom obrzędów, tłómaczył wszystko ludowi.

— Teraz — mówił — złożono na ołtarzu koronę, berło, jabłko i szczerbiec... Królowa zajęła miejsce na tronie, Jagajło zaś u podnóża stanął...

— Bogdajby na wieki tam wrósł! — mruknął Gryfita.

— Rozpoczyna się teraz Msza święta, — mówił dalej pan z Dalewic — a Jagajło przestraszonymi oczyma na wszystko spogląda, nie wiedząc co czynić ma... Ciekawość piecze obaczyć...

I rzeczywiście piec go okrutnie musiała, bo wkrótce zdzierżyć się nie mógł, i pomimo nalegań Gryfity, rozepchnął tłum, na podwórzec wszedł, i od pacholika zażegnietą gromnicę wziawszy, w podwoje kościelne wkroczył. Znano go dobrze, więc jako rycerza nikt wstrzymywać nie śmiał, on zaś, wszedłszy, ciekawym wzrokiem począł ciskać dokoła.

Jagajło stał jeszcze u podnóża tronu, a jak przypuszczał Gniewosz, niepewny był i strwożony. To na panów orszaku swego spoziarał, to ku Jadwidze wzrok podnosił, to oglądał się trwożnie i niepewności pełen targał niecierpliwie złote frendzle dalmatyki.

Nużyły go te obrzędy, których treści nie pojmował, a zarazem duszę poganina szarpał zabobonny strach. Nie mógł jeszcze potłumić w sobie wiary w pomstę znieważonych bogów litewskich, którzy snadnie pozbawić go mogli wielkoksiążęcego tronu, dla wiernych potomków Gedymina przeznaczonego. Przecież dlatego rodzic jego, wiekopomnej pamięci Olgierd, dopiero na śmiertelnym łożu

przyjął Chrzest święty, dlatego to on sam, pomimo krzyżackich zabiegów, pomimo upomnień i czułych nauk umiłowanej macierzy Julianny, księżniczki Twerskiej, i pomimo przykładu niektórych braci, ochrzcić się dotychczas nie dawał, jeno obietnicami Zakon niemiecki ludził. Miał to przeświadczenie, że z chwilą przyjęcia Chrztu utraci miłość podanych i Litwę całą...

Więc teraz co będzie? Oto już chrześcijaninem jest, ale przekonania obudzić w sobie nie może... Piękną jest ta korona, którą mu za moment na głowę włożą, mocne królestwo, które posiadać ma, ale Litwy mu żal... Tu ciągle jeszcze czuje się obcym, onieśmielonym, niepewnym siebie. Zachwyca go królowa, ona ze wszystkich skarbów, które teraz uzyskać może, najcenniejszym jest klejnotem. Niezmożoną siłą pociąga go ku sobie jej uroda, ale zimne spojrzenie i jeszcze zimniejsze słowo odpycha. I teraz, gdy ku niej podnosi wzrok, iżby otuchy zaczerpnąć, ona obu dłońmi twarz kryje, zatopiona w modlitwie... A ci panowie polscy, ten świetny orszak, który go otacza? Wszyscy tam niemal spoglądają na niego raczej ciekawie niż życzliwie, raczej hardo niż kornie. Na niejednym obliczu pochwycił on w lot bystrym swym wzrokiem wyraz niemal pogardy lub uśmiech szyderski. Tych strojnych panów razi jego prostota i obyczaj pogański... Jakże tu panować nad nimi?...

Znowu obejrzał się trwożnie. Dławił go w krtani dym kadzideł, olśniewała jasność świec mnożstwa, śpiewy duchownych przenikały smutkiem, każdy szmer przerażał, każdy dosłyszany szept zdawał się być złośliwym. Przecież doniesiono mu już, jako w mieście mówiono sobie na ucho, iż on, wielki litewski książę, ze zrabowanych niegdyś w Polsce skarbów, zausznikom swym dary rozdawał!... Cóż powiedzą dalej, gdy on królem być zechce?... Przeniknęło go nadto uczucie upokorzenia, iż mu tak długo każą stać u podnóża tronu, jemu — synowi Olgierda!

Postąpił żywo krok naprzód i, pochylając się ku Spytkowi, który ze wszystkich najmilszym mu się być zdawał, spytał szorstko:

— Długo tak jeszcze?...

Nim jednak wojewoda krakowski odpowiedzieć zdołał, arcybiskup Bodzanta odwrócił się od ołtarza twarzą ku ludowi i dał znak...

Dobiesław z Kurozwęk podeszedł ku Jagielle i, ująwszy pod ramię, doprowadził go ku ołtarzowi. Ale czuł, że wielki książę mimowolnym ruchem wzdryga się, ociąga...

— Przysięga!... — szepnął.

Jagielło zapanował nad sobą, postąpił rażniej i, wznosząc głowę, śmiało spojrzał w twarz Bodzanty.

Ten zaś pytał donośnym głosem:

— Władysławie Olgierdowiczu, wielki książę litewski, zali chcesz i przyrzekasz dotrzymać a zachować wszystkie swobody i przywileje polskiego narodu?...

Chwila ciszy, potem zaś za wskazówką Dobiesława odparł Jagielło bardzo głośno:

— Chcę i przyrzekam... tak mi dopomóż Bóg!...



POWRÓT DO DOMU

ROBERT HAUG



...pogladził miękką sierść starego towarzysza... to znów za ogon go pociągnął.

G A J O W Y.

Obrazek leśny Jordana — ilustracye St. Sawiczewskiego.



zapadłym kącie kraju naszego, zdala od dróg bitych i kolej, w głębi kilkudziesięciowłokowego lasu, ujrzał przed laty mały Wawrzek światło dzienne.

Stary bór sosnowy, tu i owdzie brzozą przetykany, był mu światem—szum drzew piosenką, która go do snu kołysała.

Kiedy po raz pierwszy wyczołgał się za próg chaty, którą ojcowie jego z dziada pradziada zamieszkiwali, spojrzął w górę, odetchnął drobną piersią, a z pomiędzy gałęzi sosnowych, splecionych z sobą w gęstą siatkę zieloną, błysnął nań promyk słońca, musnął po jego płowych włosach, zajrzał w głąb blado niebieskich oczu, które Wawrzek zmrużyć musiał, nie widząc już wcale, że się do niego przyczołgał stary legawiec, Bekas.

Psisko, zdegradowane z powodu wieku z funkcji wyżlich na domowego stróża, obwąchało malca wzdłuż i w poprzek, polizało mu obnażone nóżki i wyciągnęło łapy przy dzieciaku, układając się do snu, na ciepłym, majowym powietrzu.

Ilekoć Wawrzek poczołgał się kilka kroków, tyle razy i stary Bekas, otworzywszy jedno tylko ślepie, czołgał się za nim na brzuchu, jak niegdyś przy wystawianiu kuropatw. Wawrzek, wystraszony z początku, z wolna oswajać się zaczął... bezwiednie pogladził sierść starego towarzysza, poczem szarpnął go za ucho... to znów za ogon go pociągnął. Pies tylko warknął zlekka, nie gniewając się bynajmniej, ale odpowiadając w ten sposób na niebolesne pieszczoty malca.

I zawiązała się między temi dwiema istotami przyjaźń prawdziwa, serdeczna, tak, że Wawrzek ruszyć się już z chaty nie mógł, żeby z nim w te tropy i stary wyżel nie podążył.

Kiedy doszedłszy do lat pięciu, Wawrzek zaczął pasać gęsi na leśnej polance, Bekas towarzyszył mu wiernie, dochowując tej służby i w kilka lat później, kiedy chłopiec używany był już do pasania ojcowskiego bydła, a było tego sztuk ośm, nie licząc odchowanych

cieląt, które gromadę zwiększały. Nigdyby sobie dziesięcioletni Wawrzek z taką gromadą rady nie dał, gdyby nie pomoc starego wyżla, który karności w bydelku przestrzegał i zwracał je do zwartego szeregu, ilekoć próbowało rozlecieć się po leśnej haliźnie.

Urodzony i wychowany w lesie, Wawrzek, jak się już rzekło, widział w nim świat cały. Znał każdy gatunek drzewa, smak jego iglic i liści, napawał się zapachem żywicy, ze świeżych pędów wyciskanej, macierzanki i ziół, które na leśnych polankach porastały; zapatrzone nieraz bezwiednie w gąszcze zagajników lub wierchołki starych drzew, przysłuchiwał się ich cichym szeptom, śpiewowi ptasząt leśnych i tym dalekim odgłosom, które świadczyły, że po za szumiącym borem istnieje jeszcze świat inny.

Ten świat odmienny znał Wawrzek tylko z niedzielnych wycieczek do kościoła. Tam po ukończeniu nabożeństwa zapoznawał się na miejskim cmentarzyku z krewniakami i krewniaczkami równymi mu wiekiem—tam naprzypatrywał się koczkom, bryczkom i taradajkom okolicznych dziedziców i dzierżawców, rządów i ekonomów—tam też napawał wzrok widokami pól i łąk, które po za plebanią szerokim rozłożyły się kobiercem.

Podobało mu się to wszystko, zajmowało nawet chłopaka, a jednak w duszy, jak marynarz do morza, tęsknił i on do swojej leśnej ojczyzny, i kiedy po niesporach znalazł się znów na wązkiej dróżynie, która go przez zagaje i bór stary wiodła do ojcowskiej osady, podskakiwał radośnie, gwizdał i śpiewał sobie swobodnie, płosząc po drodze zające, ptactwo leśne i wiewiórki, umykające przed nim na drzewa.

Kiedy już doszedł lat dwunastu, wyrósłszy na krzepkiego jak dąbczak chłopaka, ojciec, starzejący się coraz bardziej, zaczął brać go z sobą w głąb lasu. Stary, nieraz nie dosłyszał stuku toporka, którym się ostrożni złodzieje leśni posługiwali—nie dojrzał czających się zdala szkodników. Wawrzek wtedy targał go z tyłu za sukma-

nę, lub zatrzymywał ręką, wskazując sprawcę szkody i goniąc w te pędy za umykającym śpiesznie łotrzykiem.

Młodsze rodzeństwo wyręczało go w pasieniu gęsi i bydła, stary Bekas podziękował mu także za służbę, wędrując w inne światy. On zaś, coraz bardziej zamilowany w nowym swym urzędowaniu, dni całe spędzał już w lesie, wracając tylko na posiłek i nocleg do ojcowskiej chaty.

Pokochał też las całą duszą... w nim czuł się jak u siebie, piękniejsze okazy sosen, brzoź i olch miał w pamięci; szczególną zaś pieczę otaczał zasadzony przez siebie świerk szkółkowy, który rósł wspaniale, strzelając w górę corocznie pędami łokciowej przeszło wysokości.

Wszystkie dróżki i dukty znał na wylot; każdy obręb leśny miał w pamięci z jego kopczykami i mrowiskami; wiedział, gdzie głuszcze i cietrzewie tokują, któredy przeciągają słonki, znał legowisko sarn, których dziedzic strzegł jak oka, znał borsucze nory, znał nawet jamy lisie, z których wykurzano potem nieproszone lokatorów... i wiedział, na jakich ścieżynach szkodnicy okoliczni wnyki na zające zastawiają.

Kiedy zima las gęstą płachtą śniegu okryła, poznawał po tropach każdego zwierza, i wiedział dobrze gdzie na nagance staremu dziedzicowi najlepsze wybrać stanowisko. Kochał go też starszy pan całym sercem, widząc w nim przyszłego zastępcę ojca, styranego na długoletniej służbie dworskiej.

Niedługo przyszło na to czekać.

Stary Wawrzon pewnego dnia przywłókł się wcześniej niż zwykle do chaty.

— Coś mi wlało w girę—narzekał, próbując ściągnąć buty: — czy mnie robak ugryzł, czy inna jaka gadzina, nie wiem... ino mi coraz ciężiej buciska włożą... a już zdjąć to i bez siły nie mogę. Może Jasek psia wiara skroił za ciasno,—stękał dalej— a może mi się od śniegu i wody skurczyły... Ola Boga! Magda, pomóż-że mi, bo nie dam rady...

Tak wyrzekając, pozbył się nareszcie bucisków przy pomocy postępującej żony... ale ani on, ani ona, nie spostrzegli, że nogi były mocno obrzmiałe, co niestety było już zwiastunem zbliżającego się końca.

Nazajutrz i dni następnych puchlina zwiększała się w oczach prawie; posłano po znachora, obłożono nogi świeżymi pędami wierzby, moczonej w spirytusie, rozżarzone w garnku pod łóżkiem chorego trzy garście węgla drzewnych, na które znachor ciskał co trzy pacierze po trzy ziarenka grochu, trzy pieprzu i trzy szczypty kurzego ziela. Nie pomagało to nic, i puchlina postępowała coraz wyżej.

Kiedy nareszcie po tygodniu takiej kuracji, Wawrzek pobiegł wystraszony do dziedzica, donosząc o chorobie ojca, sprowadzono za-

raz doktora, ale ten orzekł, że nie ma co robić, bo sine plamy, dowodzące rozkładu krwi, występować na skórę zaczynały. Posłano po księdza, i zaledwie proboszcz zdążył udzielić ostatniego Olejem Św. namaszczenia, stary Wawrzon po kilku głębszych westchnieniach wyzionął ducha.

Dziedzic zapłakał serdecznie nad zwłokami wiernego sługi, z którym go wspomnienia najpiękniejszych lat młodych łączyły. We trzy dni po pogrzebie, Wawrzek, chłop atletycznej budowy i siły, choć dopiero liczył lat dwadzieścia, został mianowany gajowym.

Z całą młodzieńczą energią jął się do dzieła; z fuzyą przez plecy zarzuconą, oblatywał codzień las cały wzdłuż i w poprzek, a było to pracą nie-malą, las bowiem zajmował przestrzeń kilku wiorst kwadratowych i nieraz przez gąszcze przedzierać się trzeba było.

Do pomocy miał dwa kundelki, karne, sprytne i cięte, z najeżoną, jak u hyeny sierścią, z ostro postawionymi uszami i kuso przyciętymi ogonkami, tropiące tylko ślady ludzkie, a nie ruszające się z miejsca na tropy lub widok leśnej zwierzyny.

Matka z młodszym rodzeństwem opędzała dom, gospodarstwo i dobytek, Wawrzek strzegł lasu od złych ludzi, którzy go się bali jak ognia, od czasu zwłaszcza kiedy chłopą szkodnika, sam jeden związał, zarzucił sobie na plecy i jak barana poniósł do wójta.

Pracą i energią zyskiwał sobie coraz więcej przychylność starego dziedzica, ile razy bowiem ten ostatni zajeżdżał do lasu, zawsze zastawał młodego gajowego na stanowisku, i nigdy ani szkody, ani pieńka nie wycechowanego nie spostrzegł.

Ale rzeczy z czasem inny obrót przybierać zaczynały. Rodzeństwo Wawrzyńca dorastało, i zwolna rozchodziło się po świecie, brat znalazł u dziedzica miejsce karbowego, siostry wyszły za mąż: jedna za gajowego w ościennych dobrach, druga za trzymorgowego gospodarza; pozostała stara matka, coraz

słabsza i coraz niedoleźniejsza, która z gospodarką i dobytkiem uporać się już nie mogła.

Należało Wawrzynowi pomyśleć o ożenku—niedługo to były termiedy. W przyległym rewirze leśnym była tęga i nieszpeta dziewczucha, córka gajowego Nepomuca, w sam raz stworzona dla Wawrzyńca na żonę, nie każda bowiem dziewczucha wiejska chce iść za mąż do lasu, gdzie ani ludzi się nie widzi, ani usług kumoszek się nie ma. Jagna, wychowana tak, jak i Wawrzyn wśród lasu, przywykła już była do tego życia cichego, spokojnego i jednostajnego—była tam w niedzielę wystroić się do kościoła, a we środę z prosakiem na sznurku wybrać się na targ do miasteczka, to zresztą miała dosyć krzątani, która jej życie wypełniała.

DCN



...z fuzyą przez plecy zarzuconą, oblatywał codzień las cały.

Sztuka na wystawie paryskiej.

VI.



alarstwo jest jedyną areną, na której i my stanęliśmy do popisu międzynarodowego.

W szeregu sal sekcji rosyjskiej Warszawa zajmuje jedną „rotundę“, t. j. okrągłą salę od wejścia, oraz pół sali podłużnej, której drugą połowę zajmuje malarstwo finlandzkie.

W pierwszej, w oświetleniu nieco ponurem, ulokowano obrazy wielkiego formatu: Gersona, Ryszkiewicza, Piechowskiego i Hirszenberga.

Są to płótna szare i ponure i dziwnie twardo wyglądają te drewniane krzyże Hirszenberga, drewniany kościół Piechowskiego, i gdyby nie bardzo dobry portret Frenkla Stan. Lentza i kilka mniejszych obrazków Masłowskiego, Pilichowskiego, Pieńkowskiego, salon ten możnaby było wiać za... sekcję pawilonu ciesielskiego.

W drugim salonie, o znacznie lepszym oświetleniu, mamy „Kuropatwy na śniegu“ Chelmońskiego, „Poranek jesienny“ Rapackiego, przepyszny portret damy z dzieckiem Pankiewicza i kilka obrazków pomniejszych. Wystawiają tu również pp. Górski, Badowski, Alchimowicz, Jasiński, Kędziński, Loevy, Pawliszak, Piątkowski, Mordasewicz, Stankiewicz, Szwojnicki, Wasilkowski, Weysenhoff.

Z wielkiem zdumieniem widz polski szuka i nie znajduje Brandta, Kowalskiego, Czachórskiego, Siemiradzkiego.

Niestety, niema ich nietylko w salonie warszawskim, lecz wogóle nigdzie na tej wystawie.

Sądzę, że wszyscy wyżej wymienieni należą do jakiejś kategorii warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, i tu właśnie mieli sposobność okazania swej łączności ze sztuką rodzimą. Dziwi również zupełne pominięcie niektórych, jak Gierymski — przede wszystkim Gierymski, a z młodszych Podkowiński.

Anglicy wprowadzili przecież aż kilkanaście obrazów swych zmarłych malarzów, nie licząc obfitej wystawy retrospekcyjnej w pawilonie wielkobrytańskim.

Ale być może, że jakieś skrupuły nie pozwoliły na uniknięcie tych bardzo dotkliwych dla wyglądu sztuki polskiej braków. Czemuż jednak nie dano więcej miejsca kilku znakomitym artystom, jak Chelmoński na przykład?

Systemu tego trzymały się literalnie wszystkie sekcje: w każdej wybitniejsi malarze mają po 5—6 obrazów. I dziś, gdy liczba malujących jest po prostu tylko wyrazem dyktantyzmu i mody, system ten jest szczególnie słuszny. W ten tylko sposób można dać poznać potęgę pracy twórczej, odrębność pewnej sztuki.

Piechowski i Chelmoński, powtórzeni kilka, kilkanaście razy, daliby pojęcie o najciekawszych indywidualnościach w sztuce polskiej. Dwadzieścia zaś, czy nawet trzydzieści obrazów różnych autorów znaczą w sztuce, nie przymierzając tyle, co kronika „Rozmaitości“ znaczy... w literaturze.

Na dobitkę widz, który się zabłąka do sal polskich, nie będzie miał po prostu żadnego wyobrażenia o tem, gdzie się znajduje, gdy tymczasem tuż obok Finlandczyków na każdym obrazie, literalnie na każdym, powtórzyli nazwę „Helsingfors“, jakby symbol ogniska swego odrębnego życia artystycznego.

W końcu przychodzi na myśl, że lepiej się stało, bo to jest rzeczywiście nie sztuka polska, lecz bezimienna, a przypadkowa, bez żądźbła indywidualności zbieranina lepszych i gorszych obrazów bez planu, na chybił trafił. Na brak miejsca nie ma się co uskarżać, gdyż jest tu razem około 30 płócien. Należało tylko dać tyleż rzeczy wybranych, pozwalając reszcie odpłynąć do salonu dorocznego, który przecież, jak zwykle, otwarto i w tym roku.

* * *

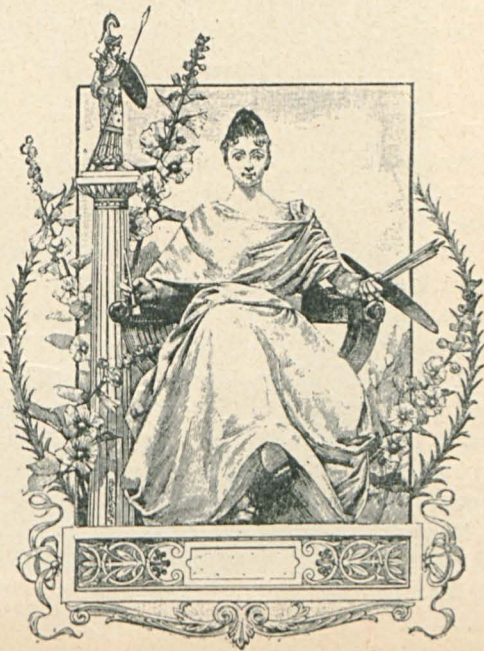
Kraków wystąpił w pawilonie austriackim przy „ulicy Narodów“. Udzielono mu, czy też sam sobie zażądał, również dość skąpo miejsca.

Jedną tylko salkę zajmują płótna polskie niepodzielnie, z drugiej korzystają do wspólni z Czechami, którzy mają prócz tego jeszcze kilka pokojów. W wystawie bierze udział kilkunastu artystów, tworzących mniej więcej „sztukę“ krakowską.

Wystawa na pierwszy rzut oka zwraca uwagę tem specjalnem życiem, którem tchną artystycznie udatne przedsięwzięcia. Nie tu nie ciąży, nie przeszkadza oku Jakaś jasność bije od swobodnej, niewymuszonej defilady płócien. Dużo pastelów, kilka akwarel, dużo szkiców, jest to jakby malarstwo w ruchu, jakby album rzeczy „pro memoria“, od którego przed chwilą odszedł artysta, pełen zapachu i rozmachu.

Wyczółkowski, Stanisławski, Wyspiański, Fałat, Pochwański, Axentowicz, Weiss, Witkiewicz, wystawiają tu nie najlepsze, lecz zawsze charakterystyczne bardzo rzeczy.

Czuć może trochę świadomy zamiar *niewysadzania się*, ale z jakim to smakiem i jak szczęśliwie przeprowadzono to artystyczne „Honny soit qui mal y pense!“



W sali, którą zajmujemy do wspólni z Czechami, umieszczono, jakby pyszną purpurę dekoracyjną, Matejki „Zaręczyny Kazimierza Jagiellończyka“ i tuż obok przedwinną kompozycję Malczewskiego Jacka, która w katalogu nosi tytuł „Melancholia“.

Są jeszcze i inne nazwiska polskie w innych oddziałach, w secesji wiedeńskiej, na wystawie francuskiej, w oddziale kolonii austriackiej w Paryżu (figuruje tu portret Mickiewicza) i t. d., ale o tych już mówić nie będziemy.

Chodziło nam tylko o manifestację sztuki rodzimej i o ich wartość względną. Otóż zdaje się, że można było uczynić więcej i staranniej, zwłaszcza w oddziale warszawskim, który w braku własnej szkoły malarskiej, mógł dać, że tak powiem, klasyczniejsze próby malarstwa polskiego w ogólności.

* * *

Na zakończenie niech mi wolno będzie wyrazić jeden wielki żal. W dziale sztuki stosowanej szukałem wspólni z kilku znawcami i miłośnikami Zakopanego—pokoju „w stylu zakopiańskim“, o którym opiewa katalog.

Przebiegliśmy w tym celu bardzo ciekawe pokoje secesji wiedeńskiej, pokoje czeskie—ale izby zakopiańskiej ani śladu.

W jednym tylko miejscu znaleźliśmy iście austriacką „ubikację“, zawaloną na sposób zamożnego burgera niemieckiego sprzętem miękkim i brzydko złożonym... W „ubikacji“ wisiał ręcznik z Krosna i leżała książka p. Edgara Kornats'a p. t. „Sposób zakopiański“. Tajnym dla nas pozostał związek tych rzeczy obecnych w „ubikacji“, jak również ich znaczenie na wystawie paryskiej.

A jednak—jaką świetną, typowo wiejską fizygnomię mogłaby mieć izba zakopiańska, ze swą czystą białą stolarszczyzną, z wyrzynaniem i „lelujami“ góralskimi! Tu właśnie, obok tysiąca złociń, adamaszków, pluszów, obok pseudo-japońszczyzny, obok prawdziwych Ludwików, obok sztucznego efekciarstwa „Secesji“, obok z tapicerską pyszną wystaw—mogłaby ta izba podbijać ludzi czystą, surową prostotą smaku i naiwnością i samoistnością motywów.

Szkoda, że dano zamiast niej austriacką „ubikację“ p. Kornats'a, a Witkiewicza model domu zakopiańskiego (już oznaczony w katalogu!) nie znalazł miejsca na wystawie, że wreszcie, zaniechawszy raz sporów, czy to jest „styl“, czy „sposób“, nie oddano sprawy w ręce artysty, nie zaś urzędnika.

Przyjdzie zapewne czas i na to, jak np. przyszedł na czerpaki zakopiańskie, które oto w postaci serwisów serwskiej porcelany otrzymały nareszcie urzędowy chrzest „dzieł sztuki“.

Stanie się to może wtedy, gdy sztuka krakowska znajdzie miejsce dla chałupy zakopiańskiej, lub kiedy sztuka warszawska nabeździe wogóle nieco—„żywniejszej cery“.

ANTONI POTOCKI.

Mickiewicz w Lozannie.

Kilka wspomnień.

2)

Z mieszkańcami Lozanny mało wogóle rodziny polskie obcowały. Mickiewicz zresztą czasu miał niewiele, bo chociaż go nudziła „bakałarka“ i choć skarżył się na zmudność pracy profesorskiej, pracował długo i sumiennie. Z pośród profesorów bywali u niego rektor Monnat, Pellis, David i inni. Wszyscy oni byli pod urokiem jego geniuszu i serdeczności. Mickiewicz bowiem nie należał do ludzi, którzy starają się przypodobać; była to natura nawskroś szczerą, wylaną, oddająca się każdemu bez ukrytej myśli, bez wyrachowania. Sympatya, którą ci wybrani z pośród inteligencji szwajcarskiej otaczali poetę i która odbiła się w przemówieniu Monnata, gdy Mickiewicz opuszczał akademię, jest tembardziej godna zaznaczenia, że w owym czasie Szwajcarzy, w szczególności zaś mieszkańcy Lozanny, żywili niechęć ku wychodźcom z nad Wisły. Złożyły się na to przyczyny polityczne.

Gdy Mickiewicz po wyjeździe do Paryża dostał się pod wpływ Towiańskiego, starał się wszystkich, których ceniał i kochał, do nowej wiary nakłonić. W tym celu przysłał do Wiktora Jundzillę Towiańskiego i zięcia jego Guta. Jundzill jednak, który przez życie całe był gorliwym katolikiem, pokusę odepchnął i z Towiańskim stosunki zerwał. Poszedł on dalej nawet. Gdy spostrzegł, że narzeczony córki jego, Heleny Karoliny, młody Chodźko, który niedawno z Persyi powrócił, wpadł również w ów wir nieszczęsny, do tego stopnia, że zostawił Towiańskiemu dowolne rozporządzenie majątkiem swoim, nie pozwolił na zawarcie ślubu córki, i dopiero po latach kilku, gdy Chodźko otrząsnął się z tej zarazy moralnej, młoda para stanęła przed ołtarzem.

Oto w ogólnych zarysach kilka szczegółów, które zawdzięczam czcigodnej damie.

Niech mi wolno będzie dodać w tem miejscu okoliczność, znaną zresztą skądinąd, że Mickiewiczowi podczas wykładów brakło nieraz słowa francuskiego. P. Secrétan, profesor filozofii, był kolegą Mickiewicza. Z ust jego dowiedział się p. Orpiszewski, że gdy Mickiewicz nie mógł znaleźć odpowiedniego wyrażenia, tworzył je, wykuwał — „il les forgeait“ — zawsze stosowne, trafne i dobitne.

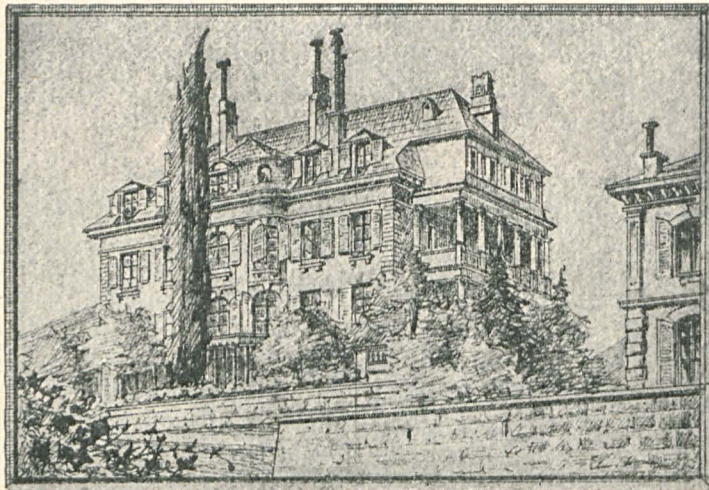
* * *

Dom, zwany przed sześćdziesięciu laty i obecnie „Beau-Séjour“, zmienił nieco wewnętrzną postać. Przed laty kilkunastu pożar strawił charakterystyczny dach szwajcarski, wskutek czego właściciel, stosując się do nowych wymagań, przebudował całkowicie piętro górne.

Szczęśliwym trafem udało się odnaleźć dwie reprodukcje domu z owego czasu, gdy mieszkał w nim Mickiewicz. Zwracamy uwagę, że drzeworyt dany na stronie niniejszej, wyobraża część domu, zwróconą w stronę jeziora. Okna parteru są oknami byłego mieszkania profesora literatury łacińskiej, na tarasie zaś widziano go często „w szlafroku i z cybuchem w ustach.“

Obecnie w lokalu, który zajmował Mickiewicz, mieści się klub pod nazwą „cercle de Beau-Séjour.“

* * *



Dom w Lozannie, w którym mieszkał Mickiewicz.

Korzystając ze wskazówki, postarałem się o wypis aktu urodzenia Heleny Mickiewiczówny z ksiąg metrycznych.

Zrozumiano mnie jednak niedokładnie i zamiast wypisu („expedition“) otrzymałem tylko wyciąg („extrait“). Mam nadzieję, że niezadługo będę w możności otrzymać kopię całości aktu, razem z fotograficzną jego odbitką. Tymczasem dzielę się tem, co posiadam.

Oto dosłowne brzmienie przysłanego mi dokumentu:

Extrait du registre des Baptêmes de la Paroisse catholique de Lausanne.

*L'an 1840 le 24 mai est née à Lausanne et le 4 juin a été baptisée dans l'église de Notre-Dame de l'Assomption à Lausanne Hélène, fille légitime de Adam Bernard Mickiewicz de Novogroden (sic!) en Pologne, duché de Lithuanie, et de Céline Felicie née Szymanowska de Varsovie, époux demeurant à Lausanne. Le parrain a été Victor Jundzill, comte, de Fribourg. La marraine a été Caroline Thérèse Victoire Jundzill *) de Fribourg. Le parrain et la marraine demeurent à Lausanne.*

*Signé: S. Reidhaar
Doyen et curé de Lausanne.
Certifie conforme à l'original
T. Pakud
Curé catholique
(L. S.)*

Akt ten dowodzi raz jeszcze, jak bliskie stosunki łączyły rodziny Mickiewiczów i Jundzillów.

* * *

Przechodzę do tych niewielu szczegółów, które udało mi się zebrać o wykładach Mickiewicza.

Pan Z. M. w cytowanym artykuliку wątpi, czy robił ktokolwiek „zapiski“, gdyż wogóle nie wiadomo, „czy się przy Mickiewiczu w akademii lozańskej egzaminy odbywały.“

P. Johannot, który, jak wyżej powiedziałem, nauczał p. Orpiszewskiego algebry i geometrii, upewniał niejednokrotnie, że egzamina odbywały się zawsze i że studenci zapisywali kursa bardzo systematycznie.

Nieboszczyk kursu nie zachował, gdyż naturalnie ani przypuszczał, jak wielkie znaczenie mieć mogły akademickie jego seksterny. Dodać trzeba,

*) Późniejsza pani Chodźkowa.

że wątpiwem jest bardzo, czy Mickiewicz był jeszcze w Lozannie podczas egzaminów, które w całej Szwajcaryi odbywają się na jesieni.

Dawniejsi słuchacze rozproszyli się po świecie, i większość zapewne w grobie już spoczywa. Szukać więc notat z przed lat sześćdziesięciu jest rzeczą niemożliwą.

P. Orpiszewski miał nadzieję, że ów drogocenny kurs ma u siebie jeden z ostatnich uczniów nieboszczyka, staruszek, zamieszkały w Lozannie. Miał on na myśli p. Berney'a, adwokata, radcę rządu federalnego.

Niestety, nadzieja ta spełzła na niczem. P. Berney dał się uprosić, przetrząsnął wszystkie papiery i nie znalazł.

Było to dla nas przykre rozezarrowanie.

Może jednak traf, który tak często przychodzi w pomoc, pozwoli nam jeszcze odszukać to, co za stracone teraz poczytywać musimy.

* * *

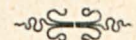
Na zakończenie maleńka uwaga.

Był projekt, podniesiony w swoim czasie przez prof. Kallenbacha, czy też prof. Ziembę, ażeby wmurować tablicę na pamiątkę pobytu Mickiewicza w Lozannie.

Dlaczego projekt został tylko projektem? Czy zbrakło środków, czy też powstały trudności techniczne? Nie wiem.

Jestem jednak upoważniony do oświadczenia, że ani ze strony właściciela domu Beau-Séjour, ani ze strony klubu, zajmującego lokal wspomniany, nie będzie przeszkód żadnych, i że koszt tablicy z napisem w dwóch językach i obmurowaniem, nie przeniesie 500 franków.

HEN. FED.



Wezwanie.

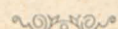
✱

Gdy noc, woniami duszna i parna,
Makowe wkoło rozrzuci ziarna,
A z mokrych jarów ciszy głębokiej
Strach się podniesie, w mgłę, wielkooki,
Za kwiatem szczęścia błądzić daremno—
Pójdiesz ty ze mną?

W las po upalnym dniu nieostygły,
W las świerkowemi wysłany igły,
W tę noc czerwcową, głuchą, tajemną,
Kędy wśród smukłych, żywicznych pni,
Najkrótszej nocy bajka się śni,
W noc Świętojańską, milczącą, ciemną—
Pójdiesz ty ze mną?

Deszcz chłodnej rosy otrząsać z liści,
W zaczarowany uśpiony bór,
W gąszcz paprociowych, wilgotnych piór,
W tę noc czerwcową, głuchą, tajemną,
Choć żaden z naszych snów się nie ziści,
Choć wiesz, że błądzić będziem daremno—
Czy pójdiesz ze mną?

MARYLA W.



Alexander Kraushar

Zabytki warszawskie.

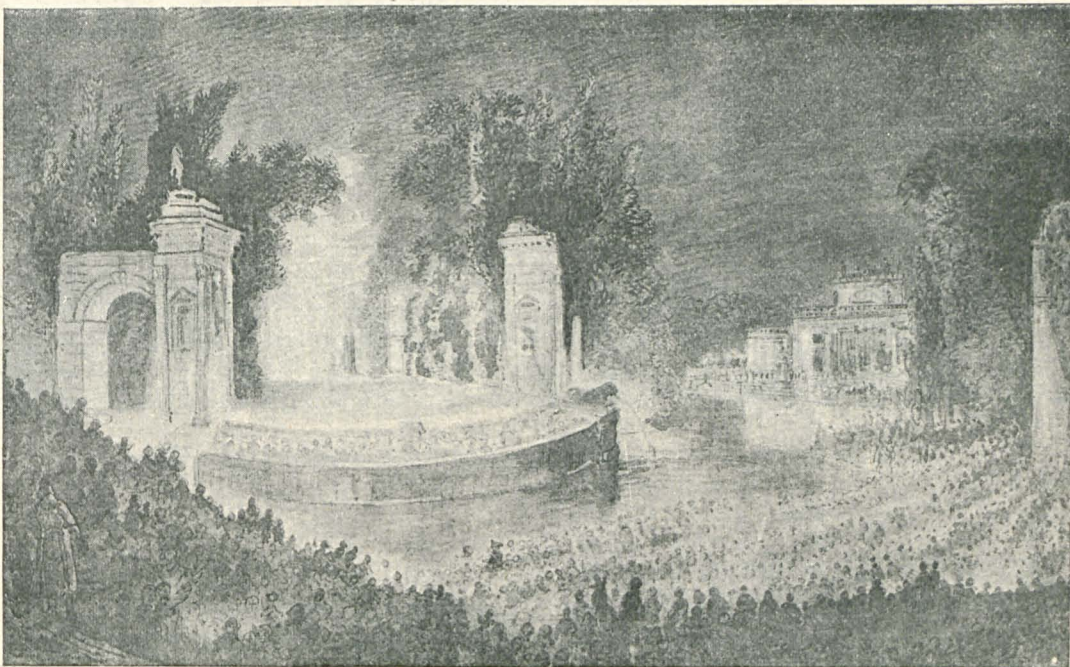
Festyn w Łazienkach, odbyty 14 września 1788 r. z powodu inauguracji mostu i posągu Sobieskiego. (Cztery nieznane akwarele współczesne).

I.



ojna ma w sobie coś poważnego, coś lojalnego, narody przez nią zazwyczaj oczyszczają się, dźwigają...“ Temi słowy objaśnia Kallinka w *Sejmie czteroletnim* (tom I, str. 53) pobudki Stanisława Augusta, jakimi się kierował, podejmując w roku 1787 długą a uciążliwą podróż do Kaniowa, celem uczestniczenia w zjeździe monarchini Katarzyny II z Józefem II i zaprojektowania tym sąsiadom aliansu Rzeczypospolitej w rozpoczętej podówczas z Portą Otomańską wojnie. Opuścił król Kaniów pełen otuchy, że plan jego znajdzie chętnych u sąsiadów orędowników, i że naród cały gorąco jego aspiracji wojowniczych poprzeć nie omieszka. Skutecznym dla obudzenia owego zapалу środkiem wydało mu się odwołanie do tradycji wyprawy wiedeńskiej Sobieskiego i do popularnej w narodzie postaci owego rycerza, którego szabla przed stu laty obroniła świat cywilizowany europejski przed nawałą turecką. Już na dwa lata przed podróżą do Kaniowa polecił król własnym kosztem sporządzić na Wawelu sarkofag marmurowy dla zwłok Sobieskiego i opatrzyć go stosownym, własnego układu, napisem. Obecnie, wracając do kraju, w dniu 17 czerwca 1787, podczas przejazdu przez Kraków, odwiedził groby królewskie na Wawelu i czas dłuższy przy trumnie Sobieskiego się zatrzymał.

Wtedy to powzięta była myśl wystawienia Sobieskiemu w Łazienkach wspaniałego pomnika, a raczej dokończenia posągu, który już od lat stu w szydlowieckich kamieniołomach oczekiwał dłota rzeźbiarza, aby z bryły nieobrobionego kamienia przejść w formę estetyczną godną pamięci rycerza.



Teatr w Łazienkach podczas uroczystości w r. 1788.

Sprowadzono też z trudem niemalym bezkształtną statuetkę konną Jana III do Warszawy i powierzono jej wykonanie Franciszkowi Pinkowi, rzeźbiarzowi. Gdy we wrześniu 1788 pomnik już był gotów, ustawiono go na moście Łazienkowskim i wezwano ludność warszawską do uczestniczenia w uroczystym obchodzie inauguracji nowego pomnika, wyznaczonym na 14 września 1788.

* * *

Oto co w owym dniu pamiętnym pisała *Gazeta Warszawska* z dnia 17 września 1788, w numerze 75:

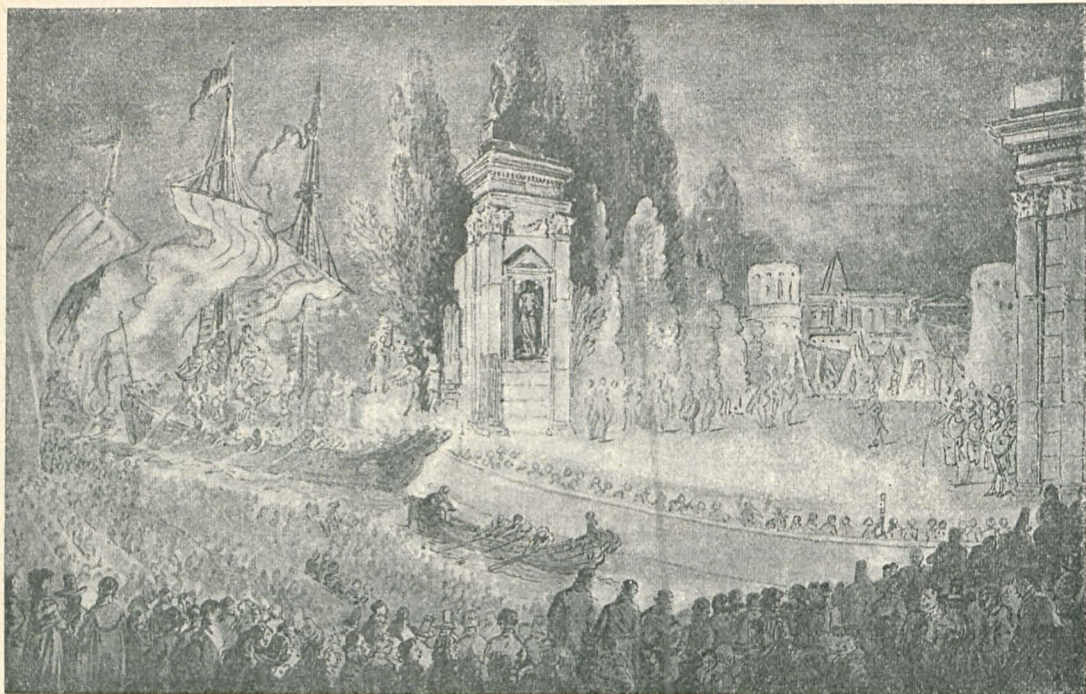
„Posąg rycerski Jana III, króla polskiego, z kamienia niegdy co do pierwszej tylko grubej roboty ledwo rozpoczęty y bez dalszego potym dokończenia przez wiek prawie cały w Szydlowcu w woj. Sandomierskiem próżno leżący, sprowadziwszy Panujący Monarcha do swej tutejszej letniej rezydencji Łazienek i osadziwszy go tam na moście (Jana Sobieskiego teraz nazwanym), kazał jak najdoskonalej y najkosztowniej zakończyć.

„Gdy ta robota była dokończona, a dzień doroczny króla Jana, zwycięzcy nad Turkami pod Wiedniem, w przeszłą Niedzielę, dnia 14 września przypadał, tegoż dnia odprawiła się w Łazienkach pomienionego posągu uroczysta inauguracja, a to z tak kosztowną wspaniałością, jak Warszawa jeszcze nie widziała, i jak przystało na Panującego, aby wielbił tego, który go na tym panowaniu niegdy poprzedziwszy, wielkimi swymi rycerskimi dziełami naród polski na całym świecie wielce wsławił.

„Na tym inauguracji festynie było w Łazienkach wystawione dla 6,000 spektatorów Amfiteatrum, gdzie się odprawił karuzel, czyli popisy rycerskie. Była na tamecznym theatrum do łez pobudzająca kantata, do której napisania użył dawnego swego pióra sławny nasz poeta, nie tylko poetyckim laurem, ale i infułą godnie od tylu już lat uwieńczony (Naruszewicz). Był na tymże theatrum balet heroiczny. Była u tylu stołów na kilkaset osób po królewsku dana kolacja. Była przy biciu z dział wspaniała pałacu, ogrodu, a mianowicie posągu inaugurowanego nowej inwencji à la *Borghese* illuminacja. Był kosztowny fajerwerk. Dla widzenia aby części tych tak wielkich ozdobości, cała prawie Warszawa wyszła ku Łazienkom, przyległą Ujazdowską górę, dachy nawet i drzewa



Łazienki podczas uroczystości 14 września 1788 r.



Balet heroiczny w teatrze łaazienkowskim 14 września 1788 roku.

ludźmi osypując. Przeto w opuszczonej po tak wielkiej części od swych mieszkańców tutejszej stolicy, odwachty nowe po różnych miejscach zakładać y ronty po wszystkich ulicach rozsyłać dla bezpieczeństwa przez ten czas musiano.

„Jakoż, godna jest rzecz, ażeby najpóźniejsze nawet wieki wiedziały, jak Stanisław August uwielbiał pamiątkę wielkiego Sobieskiego...”

* * *

Szczęśliwym posiadaczem czterech akwarel, wyobrażających różne punkta Łazienek, a głównie teatru na wyspie podczas obchodu powyższej uroczystości, niewątpliwie roboty artysty naocznego świadka festynu, jest P. Zorin, wice-konsul rosyjski w Paryżu. Dzięki jego uprzejmości, rodak nasz, znany fotograf Bolesław Matuszewski, właściciel firmy tutejszej „Sigismond i Comp.” i paryskiej pod firmą „Benque,” otrzymał upoważnienie do zdjęcia dla „Tygodnika Ilustrowanego” kopii fotograficznych wzmiankowanych akwarel, wielkości naturalnej.

Jakkolwiek niema na nich podpisu, lub monogramu artysty, nie będzie zbyt śmiałym przypuszczenie, iż artystą owym mógł być tylko prof. Zygmunt Vogel, w roku 1788 jeszcze rozpoczynający swój zawód artysty, lecz już wówczas łaską królewską i talentem, z jakim odtwarzał różne widoki ówczesnej Warszawy, zaszczytnie wyróżniany. (O nim *Słownik malarzy polskich* Rastawieckiego, tom III, str. 10—14). Ktokolwiek wszakże był autorem owych akwarel, przyznać należy, że pozostawił potomności cenne świadectwo wyglądu ówczesnego Łazienek, podczas uroczystości pamiętnej, jakiej, według słów sprawozdawcy „Gazety Warszawskiej” z r. 1788: „Warszawa jeszcze nie widziała.”

Musiała być w rzeczy samej owa uroczystość niezwykłą, jeśli wspomnienie o niej, ze wszystkimi dla dzisiejszego czytelnika niezmiernie ciekawymi szczegółami, zachował nam zacny Antoni Magier w swej rękopiśmiennej *Estetyce miasta Warszawy*.

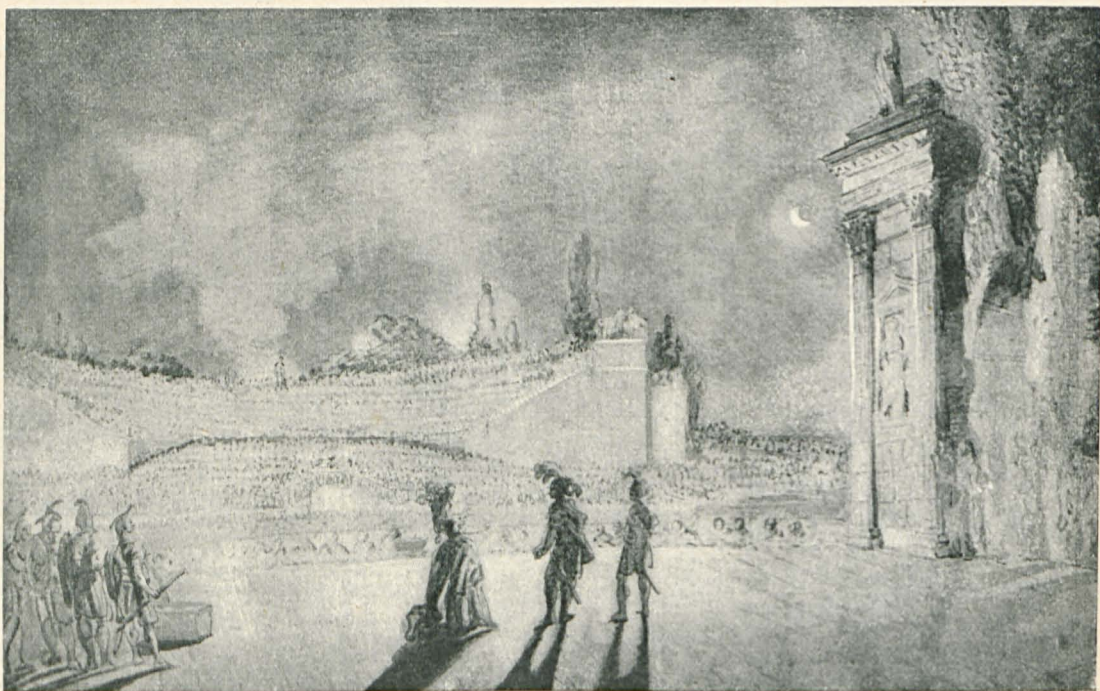
Ustąpmy miejsca jego relacji, ułożonej według druków współczesnych:

„Początkiem do pomysłu królewskiego—pisze Magier—był posąg rycerski z kamienia, niegdyś co do pierwszej grubej roboty ledwo rozpoczęty i bez dalszego potem dokończenia przez wiek prawie cały w Szydłowcu, stolicy książąt Radziwiłłów, w b. woj. Sandomierskiem, próżno leżący, który król stamtąd do swego letniego pałacu w Łazienkach sprowadzić rozkazał, Franciszkowi Pinkowi, rzeźbiarzowi ukończyć zalecił. Gdy ta robota była ukończona i dzień rocznicy zwycięstwa króla Jana nad Turkami pod Wiedniem, dnia 14 września przypadł, tego dnia, to jest w niedzielę, odprawiła się w Łazienkach pomienionego posagu inauguracja. Na tę uroczystość było w Łazienkach wystawione niedaleko *Białego Domku* obszerne dla 6000 widzów wyniesione miejsce, nakryte dachem płóciennym w różnych kolorach, otaczające szranki, gdzie od-

prawiać się miały karuzele, czyli turnieje. Cztery ozdobne stały bramy do wjazdu i wyjazdu ze szranek mających dokazywać rycerzy, w pośrodku których ustawione były drzewce z zawieszonymi na nich pierścieniami i tarcza strzelnicza i różne z tektury głowy muzułmanów, murzynów, dla ich kłócia grotami i siekania pałaszami. Wszystko tak urządzone, aby jeźdźcy, i naokoło krążąc, i z boku przeskakując, i przez środek, krzyżową sztuką, przebiegając, wszelką mieli łatwość do przebiegania i otrzymania skutku swoich obrotów. Uroczystość zaczęła się o godzinie czwartej. Na hasło uderzenia w armaty, rozpoczęły się turnieje. Pułkownik Königsfels, mający dozór nad paziami królewskimi, był dyrektorem karuzeli. Ośm było kadryłów, czyli rot, każda z czterech rycerzy złożona, którzy wjeżdżali w szranki na swe popisy. Do tych kadryłów wchodziło ośmiu paziów, to jest: Raczyński, Pstrowski, Axamitowski, Linowski, dwóch Lipińskich, De Tylli, Płotnicki i Psarski. Czterech kadetów z korpusu obojga narodów: Byszewski, dwóch Piotrowskich i Masłowski. Czterech oficerów lejbgwardyi: major Gordon, kapitan Hofman, Manget, porucznicy: Suchodolski i Mysłowski. Przytem postępowali w jednym kadrylu w mundurach kawalerii narodowej porucznicy: Kosielski, Jasiński, Osmiałowski i Strutyński.

„Inny kadryl składali: Szambelan J. K. M. Mokronowski i Przesicki, oraz pułkownik Byszewski i podpułkownik Kürker. Niemniej kilkadziesiąt ludzi z lejbgwardyi, trębaczy i t. d. Ubiór tych rycerzy składał się z koletów, najczęściej białych, niektórych zielonych i ponsowych, na nich superwesty, czyli kaftany, to ponsowe, to białe, kaszkiety na głowach, z piórami na piersiach, haftowane orły z cyframi Jana III i kopie w ręku. Damy, zaproszone na to rycerskie igrzysko, ubrane były w białe suknie z ponsowemi szarfami, na głowie toki z wstążkami, lub piórami ponsowemi *coquelicot*, panowie zaś, mający ordery, w sukniach ustawą orderową przepisanych.

„Chwalebna ciekawość tak pysznego wi-



Część sceny i widownia teatru łaazienkowskiego 14 września 1788 r.

lowiska sprowadziła do Łazienek, prócz około tysiąca różnych pojazdów, tak wielkie mnóstwo ludzi z różnego stanu, że nie mogąc się mieścić na przygotowanych ławkach, zapełniło i okryło wszystkie pagórki okoliczne Łazienek, a mianowicie górę, na której stały koszary gwardii pieszej litewskiej. Można by śmiało powiedzieć, że do trzydziestu tysięcy głów tam się znajdowało. Trwał karuzel przez pięć kwadransów, po którym król udał się z gośćmi do nowego teatru na kantatę, tekstu biskupa Naruszewicza, recitativami. Dekoracja wystawiała las, a w nim ołtarz, na którym stała statua Jana III. Odegrały tę scenę aktorki: Litańska, Jasińska i Rudnicka, jako pasterki, a pasterza zaś grał sławny tenorzysta Kaczkowski, i nastąpił chór powszechny. Tę kantatę poprzedził balet heroiczny, wystawiający naród, którego prawa postanowiły, ażeby corocznie w dzień zjazdu publicznego całego narodu rycerze, najlepiej popisujący się, wybierali sobie małżonki, podług upodobania swego i zezwolenia starszych. Król, wyszedłszy z teatru, przypatrywał się wspaniałej iluminacji nowego pomysłu *à la Borghese*. Zajaśniały całe Łazienki z okolicznymi lasami, domami i kanałami rześmistym ogniem, z kilkudziesięciu tysięcy lamp kolorowych w różne kształty ułożonym. Nad statuą króla Jana wystawiona była brama tryumfalna w rzymskim stylu. Król Jan w postaci bohatera, dwie po bokach tarcze kamienne, łupami zwycięskimi okryte, z napisami w języku polskim i łacińskim. Po obu stronach bramy zdobiły pięknego pendzla w przezroczach zbroje około herbów obojga narodów, a nad bramą herb króla Jana; kanał od pałacu do tejże bramy obejmowały trofea, czyli słupy rycerskie, ubrane w chorągwie, tarcze, szyszaki, zbroje i inną broń wojenną, połączone z sobą festonami i lampami, oświecone od domu królewskiego do bramy, jedno wystawiały ogniwo, a przez odbicie ogniów w spokojnej wodzie dwoiste niejako czyniły objaśnienie światłem.

„Po drugiej zaś stronie pałacu podobnymi ogniami cały staw był oświecony, aż do kaskady, nad którą stał obelisk w temże świetle. Oprócz tego cała przestrzeń przed pałacem i drzewa, objaśnione latarniami i mnóstwem żyrandoli, dzień prawie z nocy uczyniły.

„Przypatrzwszy się król iluminacji, wszedł do sali, gdzie odebrał dziękczynienie w mowie polskiej od Sobieskiego, wojszczyca liwskiego, syna Józefa i Hilary z Bujnow Sobieskich, z tejże krwi co i król niegdyś idącego. Przyjął król mile tę mowę i młodemu Sobieskiemu postanowił dać wychowanie. Nastąpił potem wydział nagrody dla rycerzów. Podano królowi raport, który wezwał do rozdania nagród księżnę z Sapięchów Jabłonowską, wojewodzinę bractawską, księżnę z Gozdskich de Nassau-Siegen i z Rzewuskich Humięcką, miecznikową koronną, mając wzgląd na to, że te damy najbliższej pokrewieństwem króla Jana III dotyczyły. Czytany był regestr, według którego przystępowali rycerze i odbierali nagrody. Nagrodą były medale złote i srebrne, także zapony złote i srebrne, z wprawianymi medalami złotymi lub srebrnymi, z napisem: *Equiti dextero*. Medal pierwszej klasy nowo był wybity z rozkazu królewskiego, wyrażał on po

jednej stronie twarz króla Jana, w laurowym wieńcu, z napisem: *Joannes III Rex*, na drugiej był wieniec laurowy z przewłóconymi dwiema na krzyż kopiami, z napisem na wierzchu z Wirgiliusza: *Animamque vocamus Herois*. Na dole zaś: *Statuam dicavit Magno Defensori 14 Septembris 1788, Stanislaus Augustus Rex*.

„Po tem rozdaniu nagród nastąpiła wieczerza na 300 osób. Stół jeden był w sali wielkiej, inne pod namiotami, umyślnie na to przy pałacu rozbitymi, lub po mniejszych tego domu pokojach. Król, jako gospodarz, obchodził gości swoich, do dobrej myśli zachęcając.

„Zakończyły tę wspaniałą uroczystość równie wspaniałe i kosztowne sztuczne ognie, wypuszczone przy odgłosie armat około bramy tryumfalnej króla Jana, które w różnych sztukach palnych, na wodzie i na lądzie bawiąc przez pół godziny gości, wydały na ostatku bukiet, z kilku tysięcy rac złożony.“



Nasze ryciny.



Bronisław Gembarski: Rok żołnierza Maj. Załączona akwarela wyobraża porucznika huzarów w pełnym umundurowaniu. Należy przy sposobności nadmienić, że huzarzy zajmują bardzo zaszczytne miejsce w historii wojen Napoleońskich. Byli to typowi jeźdźcy, niestrudzeni jako straż przednia i w wojnie podjazdowej. Dlatego też składano o nich liczne piosenki, w których wysławiano waleczność huzarów, oraz podboje, zarówno na polu walki, jak i w sferze „afektów strzelistych.“

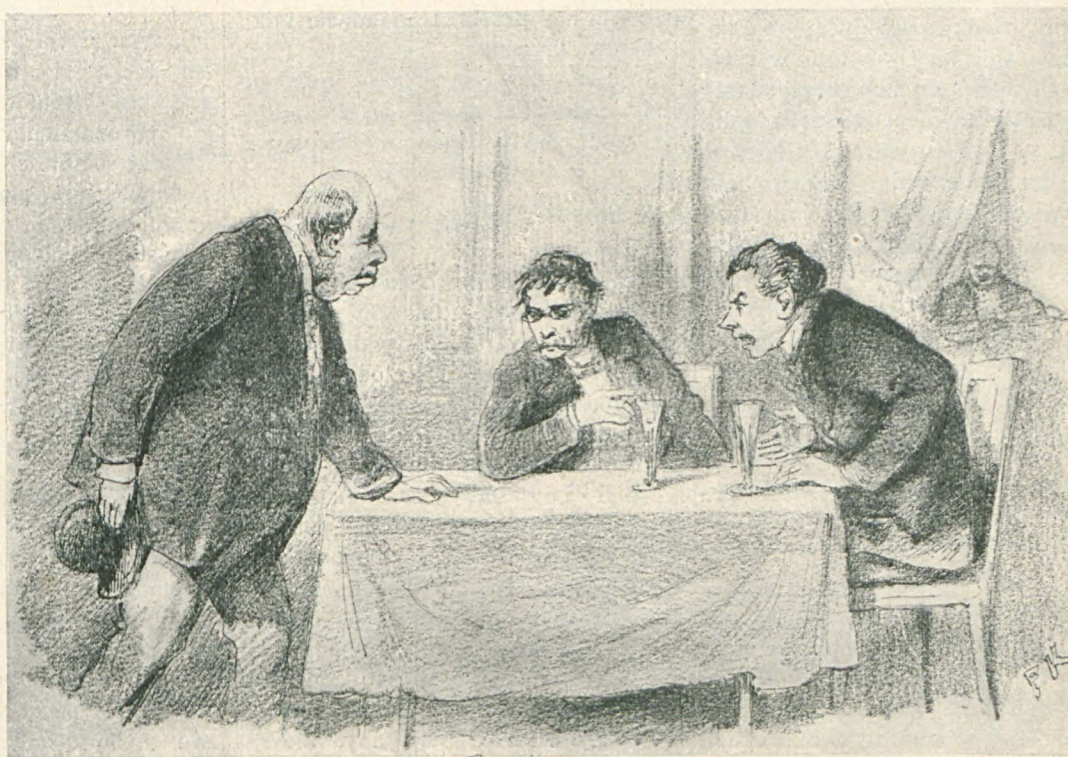
Dom polski w Ostrawie Morawskiej. Idąc za przykładem Czechów i Niemców, mających własne „domy narodowe,“ i Polacy, zamieszkali w Mor. Ostrawie, wystawili sobie dom narodowy, nazwa-

ny krócej „Domem Polskim.“ Idea „domów narodowych“ powstała dopiero w latach ostatnich i tłumaczy się warunkami życia okolic kresowych, zamieszkanych przez różne narodowości, które chcąc zachować swoją odrębność, starają się w każdej ważniejszej miejscowości mieć własne siedziby i własne ogniska, mające skupiać i kształcić kulturalnie i narodowo współrodaków. Historia „Domu Polskiego“ w Morawskiej Ostrawie jest krótka: w czerwcu roku 1899 powstało Towarzystwo budowy „Domu polskiego,“ jako stowarzyszenie zarobkowe (zarejentowane z ograniczoną poręką), które za pomocą udziałów 10-reńskowych i pożyczki prywatnej w ciągu roku postawiło gmach okazały, posiadający dzisiaj wartość 130,000 złr. Mieści się w nim restauracja i kuchnia ludowa; jest sala na widowiska teatralne, koncerty, odczyty i zgromadzenia; jest sala szkolna dla kształcenia analfabetów i młodzieży robotniczej; jest bezpłatna wypożyczalnia książek dla każdego, kto się tylko zgłosi. W „Domu polskim“ mają już swoją siedzibę: Towarzystwo szkoły ludowej i Czytelnia polska (kasyno); wkrótce otworzona w nim będzie filia polskiego Banku rolniczego z Frysztatu na Śląsku, następnie założone będzie towarzystwo gimnastyczne „Sokół,“ uniwersytet ludowy, biuro pośrednictwa pracy, redakcja „Gazety Ostrawskiej,“ która wkrótce wychodzić zacznie, i t. d. „Dom Polski“ zatem będzie skupiał w sobie cały ruch narodowy i kulturalny żywiołu polskiego, zamieszkującego Mor. Ostrawę i jej okolice najbliższe. „Dom Polski“ w z. m. ukończono zupełnie.

Robert Hang: Powrót do domu. Ściśle biorąc, jest to nie obraz rodzajowy, lecz pejzaż z tak zwanym sztafażem. Całą głąb obrazu zajmuje przepysznie malowany łąk z zboża, na tylnym planie widać drzewa i kawałek błękitu nieba. Na pierwszym planie idzie para zakochanych w kostiumach XVIII w. Trzymają się za ręce, „on“ mówi, a „ona“ słucha, spuściwszy skromnie oczęta. Figury mają dużo wdzięku w wyrazie i ruchu.



Z TEK I HUMORYSTYCZNEJ FRANCISZKA KOSTRZEWSKIEGO.



W RESTAURACYI.

- O czem to panowie tak rozprawiają?
- O sztuce pięknej i o modernizmie.
- Nie znam się na tem; dla mnie najpiękniejsza sztuka — to sztuka mięsa z kwiatkiem!

Kronika powszechna.

Ze świata katolickiego.

Chiny. Wobec zbyt ogólnikowo rozpowszechnianego twierdzenia, że źródło nienawiści Chińczyków do religii chrześcijańskiej, a pośrednio i ostatnich rozruchów w Państwie Niebieskiem, leży w przyjmowaniu przez misjonarzy wyrzutek społecznych, szukających w Krzyżu osłony przed pościgiem karnym, wyjaśnić trzeba, iż zarzut ten nie dotyczy ani trochę misji katolickich. Misjonarze katolicy istotnie narazili się społeczeństwu warkoczowemu, ale przed półtora laty, i zupełnie czem innym. Niektóre mianowicie działające tam zgromadzenia zakonne, zazdroszcząc Jezuitom misyjnego powodzenia, opartego w pewnej mierze na tolerowaniu narodowych zwyczajów i obchodów chińskich, skłonili swemi stronnictwo przesadnymi doniesieniami Stolicę Apostolską, wbrew jej zwykłemu w takich razach postępowaniu, do wydania zakazu przeciwno tym zwyczajom, jako niedającym się rzekomo odpoganić. Konserwatyzm chiński, wyjątkowo niechętny wszelkim nowościom, wyzyskał to zarządzenie jako zamach na uczucia narodowe i rzucił w serca chińskie pierwsze żarzewie nienawiści do chrześcijan, wybuchającej do tej pory peryodycznie płomieniem prześladowań. Nierównie jednak gorzej przysłużyły się sprawie cywilizacji chrześcijańskiej dążności zaborcze Europy, dzięki którym misjonarze uchodzą w skośnych oczach Chińczyka za saperów, torujących drogę europejskiej grabieży. Tak samo zresztą traktuje misjonarzy i kramarska dyplomacja rządów, które, choć niechętnie chrześcijaństwu u siebie, popierają je na dalekim Wschodzie. Tym sposobem, protekcyja władz cywilnych, o ile w zasadzie pożądana, o tyle w tych warunkach obraca się na niekorzyść misji, bo ściąga na nie podejrzenie solidarności z komiwojażerami i bagnetem. Żadne jeszcze dotychczas chińskie prześladowanie chrześcijan nie pochłonęło tylu ofiar, ile obecne. W samych tylko misjach belgijskich zamordowano w barbarzyński sposób 20.000 chrześcijan-katolików, a w tej liczbie 82 misjonarzy. Na 700.000 katolików chińskich już ta jedna liczba stanowi stratę olbrzymią dla Kościoła. To też Ojciec św. nakazał zgromadzeniom rzymskim modły za odwrócenie klęski, mogącej przybrać jeszcze straszniejsze rozmiary.

Francya. Stawiającego przed armią na piedestale ideału Attylę, cesarza Wilhelma, mocno zawstydził p. Lannan, minister marynarki francuskiej. Posunął on swą nadezłą tolerancyjność dla Chińczyków aż do wydania wojskom zakazu ścinania drzew świętych, bo to byłoby profanacją. Ten sam jednak minister nie potrafił uszanować narodowo-religijnej tradycji floty francuskiej, gdy okrętem wojennym zabronił w Wielki

Piątek wywieszać flagę żałobną. Czemuż rząd francuski nie zdobędzie się choć na równouprawnienie drzewa Krzyża, czczonego w jego kraju, z chińskimi drzewami świętymi? Jest to tajemnicą rewolucyjno masonskiej *égalité, fraternité, liberté*, która zmusza młodzież szkolną do brania udziału w uroczystościach, obchodzonych w rocznicę wzięcia szturmem Bastylli (14 lipca), i śpiewania na nutę Marsylianki takiej np. tolerancyjnej zwrotki: „Tapez, tapez, sur les curés, Jusqu'à ce qu'ils soient crevés!“ Przyznać jednak trzeba z radością, że nie zanikło jeszcze w „liberalnej“ Francji poczucie sprawiedliwości względem dzieł ducha katolickiego. Oto na wystawie powszechnej przyznano liczne nagrody zgromadzeniu Braci szkół chrześcijańskich, założonemu jeszcze w r. 1705 przez kanonizowanego przed kilku miesiącami św. Jana Chrzyciela de la Salle. Pomimo, że do składu jury, wyznaczającego nagrody, należało kilku radykałów, a jeden z nich, p. Bourgeois, był jego prezesem, Bracia szkolni otrzymali całą masę medalów złotych, srebrnych i brązowych, odznaczeń, wzmianek honorowych i wielkich nagród. Po niespełna dwóch wiekach zatem, Jan Chrzyciel de la Salle doczekał się podwójnego tryumfu: kanonizacji, oraz zaszczytnego uznania dla swych zakładów od najzgorzalszych przeciwników religii.

Ks. I. Ch.

Z prasy zagranicznej.

W piśmie *Aus Fremden Zungen* spotykamy studium krytyczne o „Ochłani“ Tetmajera. Krytyk, B. W. Segel, nazywa powieść polskiego poety „jedną z najpotężniejszych ksiąg literatury polskiej.“ W tem samym piśmie znajduje się przekład niemiecki kilku utworów lirycznych Tetmajera („Ich liebe dich, die See,“ „Das Schreckbild,“ „Die Thaten.“) — *Nada*, pismo ilustrowane, wychodzące w Sarajewie, dało portret Sienkiewicza.

Z literatur obcych.

Francuska.

Jacques le Lorrain: L'Au-delà z przedmową Jules Bois. — Jak sam tytuł zapowiada, mamy tu do czynienia z romansem mistycznym. Przedmowa znane go okultysty Juliusza Bois nazywa „L'Au-delà“ uzupełnieniem głośniego utworu Huysmansa „La Bas.“ Niestety, dzieło Lorraina, aczkolwiek napisane z talentem, nie dorównywa pod żadnym względem pracy Huysmansa. Brak mu z jednej strony tej flamandzkiej plastyki, którą się odznaczają romanse nawróconego na mistycyzm naturalisty, z drugiej zaś brak mu jego śmiałości. Lorrain wziął temat bardzo wdzięczny i mało wyzyskany, ale zatrzymał się w pół drogi. Zapelniał powieść dyskusjami teoretycznymi pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami realności zjawisk medyumicznych, ale same zjawiska opisał blade i bezbarwne. A właściwie, jeżeli gdzie, to tu-

taj fantazja miała pole do popisu. Gdyby autor zużytkował tylko materiały istniejące, gdyby dał syntezę artystyczną doświadczeń Crookes'a, Richet'a, Ochorowicza, Aksakowa, Zöllnera, których rozprawy, jak widać z treści książki, zna doskonale, stworzyłby może rzecz interesującą i oryginalną. Zamiast obrazów jednak, dał nam autor polemikę i zepsuł przez to wcale dobry pomysł. Pomysł nazywam dobrym, gdyż cała inscenizacja i intryga erotyczna są wcale zręczne. Rodzina, złożona z trzech braci oryginalów, z których jeden zajmuje się alchemią, a drugi spirytyzmem, postać mistyka Huberta i jego siostry, oraz nauczyciela Caudosa — wszystko to figury dobre, ale nie wyzyskane należycie. Powieść sprawia wrażenie wstępu do jakiegoś większego cyklu utworów, które autor może z czasem napisać. Bądź co bądź, jest to rzecz charakterystyczna, jak mało dotychczas medyumizm odbił się w literaturze pięknej. Utworów, opartych na tym temacie nie brak, ale żaden z nich nie może się równać pod względem artystycznym z dziełami romantyków, a zwłaszcza genialnego Hoffmana. — O wiele ciekawsze od powieści Lorraina jest dzieło naukowe o medyumizmie znanego astronoma Flammariona, p. t.: *L'Inconnu*. Autor zebrał tam i zestawił, w sposób bardzo sumienny, pracowity i logiczny, rezultaty badań własnych i cudzych nad kwestyą medyumizmu i doszedł do wniosku, że fakty medyumiczne istnieją i powinny być badane przez naukę. że jednak niepodobna dzisiaj stawiać jeszcze hipotez co do ich natury i pochodzenia.

Polityka.

Przerwa w akcji wojskowej, która nastąpiła po zajęciu Pekinu, trwa dalej, tymczasem zaś między mocarstwami toczą się rokowania z powodu projektu wycofania wojsk z Pekinu. Do porozumienia jeszcze nie doszło; według ostatnich informacji prawdopodobne jest przyjęcie wniosku pośredniego, t. j. że w Pekinie miałyby pozostać nieduży kontyngens załogi związkowej, a główny korpus w sile 20.000 zająłby Tientsin. Dotychczas rzecz przedstawia się tak, jakby ze strony chińskiej nie chciano przystąpić do układów, dopóki wojska europejskie znajdują się w stolicy, do której cesarzowa i cesarz nie chcą wrócić. Wprawdzie donoszą, że Li-Hung Czang przedstawił już mocarstwu swoje należycie uwierzytelnione pełnomocnictwo do prowadzenia układów, ale o przystąpieniu do nich dotychczas nie słychać. — W Austrii po długich korowodach nastąpiło rozwiązanie izby poselskiej parlamentu. Nowe wybory odbędą się w styczniu. Rząd spodziewa się, że nowa izba będzie skłonniejsza do spokojnej pracy, a tymczasem będzie sobie radził paragrafem 14. Jest to wszystko przelewanie z pustego w próżne, gdyż bez zmiany konstytucji nie da się

osiągnąć uregulowania stosunków. — Ze spraw europejskich należy jeszcze zaznaczyć silne zadrażnienie pomiędzy Bułgarią a Rumunią na tle agitacji macedońskiej. Sprawa wygląda nawet wojowniczo, atoli prawdopodobnie zainteresowane państwa wpłyną na uspokojenie.

Kroniczka fotograficzna.

P. Prunié zaleca wiro-fiksaż następującego składu: podsiarkonu sodu 250 części, chlorku sodu 40 części, octanu ołowiu 10 części, chlorku złota 0,5 części, wody dystylowanej 1.000 części. Przytem robi następujące uwagi: 1) wiraże-fiksaże powinny wogóle wywierać neutralną reakcję; 2) rodanek amonu zbyt czystym jest, a na papierach żelatynowych rozpuszcza żelatynę; 3) chlorek sodu działa konserwująco; 4) octan ołowiu jest niezbędny, a dla otrzymania więcej ciepłych (brązowych) tonów powinien być brany w 2—4 częściach; 5) octan sodu, azotan ołowiu i kwas cytrynowy, zdaniem jego, są niepotrzebne. Poprzednio podaliśmy recepty kilku bardzo dobrych, wypróbowanych wiraże-fiksaży; dla żadnych prób podajemy i tę receptę, podyktowaną przez znanego fotografa. Wł. K.

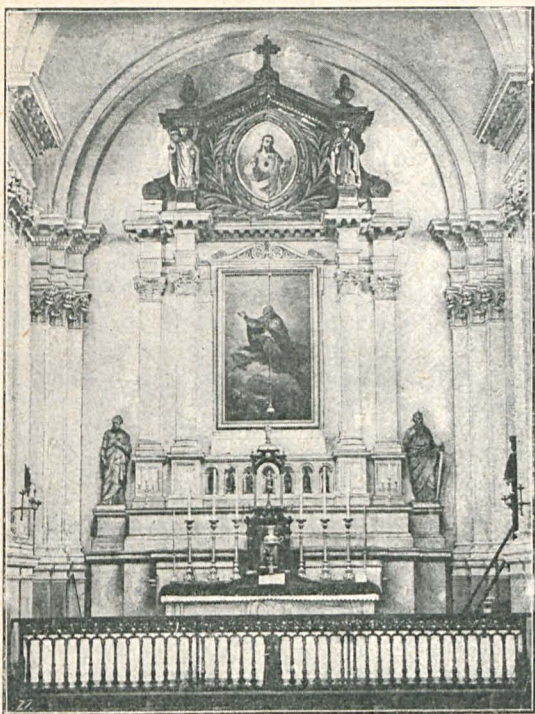
Z muzyki.

Z nad Tamizy przez jakiś czas dochodziły wieści o chorobie Jana Reszkego, która jakoby wielce ujemnie wpłynąć miała na głos znanego śpiewaka. Obecnie Reszke przyszedł już podobno do siebie i ze zwykłym powodzeniem wystąpił w „Lohengrinie.“

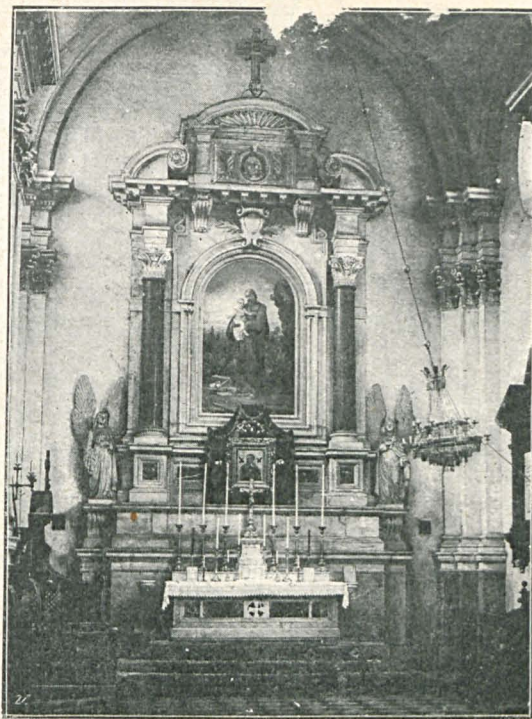
Pan Aleksander Lambert, dyrektor nowojorskiego konserwatorium, donosi w liście, pisanym do kogoś ze znajomych w Warszawie, że pierwszy koncert Ignacego Paderewskiego w „Carnegie-Salon“ przyniósł przeszło 15.500 dolarów. Dochód to nawet na stosunki amerykańskie niebywały.

Sześciolatekni kompozytor. Najcudowniejszym dzieckiem w danej chwili jest niewątpliwie mały Miccio Horszowski ze Lwowa, który, napisawszy przed rokiem marsza na orkiestrę, otrzymał od cesarza Franciszka Józefa jako nagrodę 10 dukatów w złocie. Znany teoretyk i kompozytor niemiecki, Cyryl Histler, poświęcił małemu rodakowi cały długi artykuł w lipskim *Tageblacie*. Porównywa on Miccia, z Mozartem i Mendelschnem, którzy, jak wiadomo, zadziwiali świat również przedwczesną dojrzałością. Prócz marsza na orkiestrę, napisał nasz mały człowieczek jeszcze dwie sonaty i kilka mniejszych utworów. Jest on obecnie uczniem prof. Leszetyckiego. Poprzednio kształcił się u pp. Soltysa i Melcera.

W *Medyolanie* została otwartą sala Perosi'ego, w której duchowny ten zamierza wykonywać w przyszłości wszystkie swe utwory. Sala mieści się w kościele starożytnym z XV-go wieku, zbudowanym niegdyś przez mnicha portugalskiego, Amadeusza, i ozdobionym freskami Luiginiego.



Ołtarz Ś-go Karola Boromeusza.



Ołtarz Ś-go Józefa.



Ołtarz Wniebowzięcia N. M. P.

Nowe ołtarze w kościele Powązkowskim w Warszawie.

Ołtarz wielki cały z kamienia szydłowieckiego. Obraz, malowany przez ucznia Bacciarellego, wystawia św. Karola Boromeusza, patrona kościoła powązkowskiego. Wzniesiony kosztem właścicieli zakładów kamieniarskich,

pp. Sikorskiego, Norblina, Pruszyńskiego, Żydoka, Lubowidzkiego i Pleckiego. Cyboryum z hebanu, ozdobione bronzami. Wykończony w roku 1898.

Ołtarz Św. Józefa. Cały z kamienia szydłowieckiego, główne kolumny z marmuru węgierskiego, mensa z marmuru białego, inkrustowana kolorowy-

mi marmurami, wystawiony kosztem pana Gustawa Fosińskiego. Obraz malowany przez s. p. Schupego, wykończony w 1894 r. przez H. Żydoka.

Ołtarz Wniebowzięcia N. M. P., cały z kamienia szydłowieckiego, kolumny i cyboryum z marmuru białego kararyjskiego, ubierane bronzem; wykonany

przez H. Żydoka. Ołtarz ten posiada obraz malowany przez p. Łukaszewicza. Fundowany z zapisu s. p. E. Czabana, a wykończony w lutym 1900 r. Wszystkie trzy ołtarze wykonane po dług projektu J. Dziekońskiego, pod którego kierunkiem kościół powązkowski przebudowano.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Poezye*. Serya IV. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1900.—W tym świeżo wydanym tomie utworów Tetmajera dźwięczą dobrze nam znane z poprzednich nuty, drgają te same struny: melancholii, rozpaczony ponurej, żalu nieukojonego, beznadziejności, zwątpienia... Zgrzybiałe, jak wieczność, utrapienia, widma prze-rażające: martwoty, pustki, pragnień nieziszczonych, żądz trawiących, stają wciąż na drogach duszy poety, prowadzą ją wciąż po mrocznych bezdrożach bytu, gdzieś, na „Wyspie umarłych“, trzymają w niewoli. Wśród dusz uwiecznionych tam są te:

...co serca płonęły pożarem,
Te, co za wiele czuły i cierpiały;
Co się pytały pod uczucie nadmiarem:
Z jakiego kruszczu twarda Boża ręka
Kuje pierś ludzką, że w ogniu nie pęka?
Te w te spokojne, morskie idą skały...

(„Wyspa umarłych“, ilustracja do „Totten-insel“ Böcklina).

Dusza poety podobną jest do nich... W istocie bowiem trzeba mieć wielką żywotność, niepospolity upór serca, żeby całym nadmiarem jego uczuć, całą masą jego cierpień i wspomnień bolesnych, gnać, wpędzać duszę własną w tę morską, posępną warownię, gdzie:

Po krzemieniach mech się pnie zielony,
Cyprisy smukłe nad morską głębiną
Widzą swój smutny kształt odzwierciedlony
I nieruchome patrzą w niebo w górze,
Gdzie nigdy złoto nie płynie i róże,
A tylko sine mgły obłoków płyną...

Duch poety, zamknięty w tym grodzie ostepnym, rozstrzyga wciąż zagadkę własnego istnienia, wciąż wnika w jego nędzę i klęski, a przyczyny ich topi w źródłach niecstwa bytu ogólnego. Stąd wylatuje nieraz ku szczytom górskim, gdzie ryczą gromy i wichry wyją, którym „nie śmie napastniczy, poziomy grozić świat;“ ku nim zwraca tęskny wzrok i woła:

Daj mi, o! daj mi jedną twoją błyskawicę,
Daj mi jeden blask czysty, co przez twe śnieżyce
I mgieł przelata mrok... („Do szczytu“).

Pragnie światła, czystego ognia z gór, gdyż wie, że „dusza ludzka wali się i kona... jest prochem ziemi udreżona... Chce wstać i wzbić się, rwie się w bezdeń... w bezmiary sfer, ale tym wieczystym, nadaremny wzniosem zrozpaczona, pragnie położyć kres, gdyż:

Lepiej już iście, jak meteor, minąć,
Gdzieś na przepastny morski zabiedz szlak
I zginąć,

Niż być bezsilnym tak!... („De profundis“).

Dusza poety odbywa bez przerwy ten ruch wahadłowy, wciąż kołuje dookoła własnej istoty i własnych przeznaczeń, żyjąc wielkim rozdwojeniem: poczuciem kruchości swojej, swojej niedoli i nędzy, oraz niezniszczalnym, pomimo wszystko, pragnieniem świetlanych i zaciśniętych krain, dróg gwiazdzistych, czystych, niedostępnych dla brudów i zgiełku ziemskiego, bezmiarów prawdy, spokoju, potęgi. W obecnym tomie poezji Tetmajera nuta ta jest dominującą, stała się osią jego twórczości, wydoskonalila się i nabrała obcych mu dawniej

akcentów: powagi w cierpieniu, pojednania filozoficznego, uduchowienia. Dawniej było w tem wszystkim za wiele rozstrzelenia drobiazgowego, więcej skarg i żalów niecierpliwych, więcej utyskiwań czczych i powierzchownego rozjątrzenia nerwowego, niż skupienia hartownego w sobie, głębi cierpień i pełni myśli. Dziś jest przeciwnie—szerzej i wznioślej to wszystko się wyraża. Większość utworów, zawartych w zbiorze, jest poświęcona zaznaczonemu wyżej problematowi duszy. (Cykl: „Dusza“, „W pustce“, poemat „Qui amant“, „Uzupełnienie“ i t. p.). Wszędzie tu głos poety woła z otchłani:

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy,
Duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!
Otwarta... słońcu; cicha... jak popiołów urna;
Wielka... jak świat; tajemna... jak las o północy

Próżne wołania... Głos ginie w przestrzeniach ziemskich, przepada wśród pustyń jałowych życia; wszędzie dusza ludzka ujęta jest w więzy niewoli, nigdzie, „jak słońce promienna i gorąca, jednym tylko czuciem przejęta, aby ciepło rozrzucać i świecić...“ Wszystko jest nieością, złudzeniem i klęską ostateczną duszy: miłość ludzkości jest niczem, najsroższemu uczuciu niemości woli ludzkiej; wiedza, bogactwo doświadczenia, świadomość monotoni bytowania—straszna nędza, „strachem, który pęta ramiona odwadze.“ Przed niedolą rozważ i wiedzy zna poeta dwie tylko ucieczki: szaleńcze wyobraźnię; jest to jednak abdykacja ducha, zaprzeczeniem myśli. Zresztą pragnienie ludzkie: „być czystą myślą, zawisnąć niedostępnym niczemu, co

ziemskie...—spotyka się z widmem okropnem ironii, co jest kłatwą życia, jego unicestwieniem, jałowym, bezpłodnym stanem duszy. Oto jest cykl śmiertelny, zaczarowane koło, z którego człowiek nie wychodzi... Wobec pęt i upokorzeń ciała, jest on bezsilny:

Niema mocy zwyciężenia,
Niema zwycięstwa nad zmysłów przemocą...
Naprawdę! Skrzydła, co się tu szamocą,
Do śmierci mi łańcuch ziemski opierścienia...
(„Na szczycie“).

Nie zazna nawet pociechy w chwili szału i konania. Ten, do którego się zwraca, ma usta pełne milczenia, sam jest zagadką niepojętą... posągiem olbrzymim na stropie.

Chryste! Patrz! Niezmiar, ogrom twej miłości
Jest czymś nadludzkim tak i niepojętym,
Że co być miało żywotem ludzkości,
Staje się trwogą, otleńianą i wstrętem...
Nie mogąc zdążyć za Tobą, upada!
Z pod nieba w piekiel upada płomienie,
A ty jej nikniesz i odchodzisz z oczu,
I gdzieś w błękitnem, dalekim przezroczu
Postać się Twoją ukazuje błada
I niedościgną rośnie w Przerazenie...
(„Na szczycie“).

W ten sposób wyklada poeta w pięknym poemacie swoją filozofię bytu ludzkiego... Strapiiony i beznadziejny, panteistycznym zapala się pragnieniem, wyciąga ręce błagalne do natury — Matki, w której łonie wszechwiernem pragnie istność swoją zatopić, w jej potęgę poczuć się atómem i t. p. Wprawdzie ten panteizm, to tarzanie się na łonie natury, stały się zbyt już niezawodną ucieczką wszystkich grzesznych i zropanionych, ale poeta z siłą niemalą wyraża swoje pragnienia i widocznie, całą potęgą władz istoty swojej, spragnionej lepszego bytu, tęskni i dąży do tej świętej chwili, „gdy czysty i szczytny, jak orzeł, co się wzniesie w sklep błękitny... wydarty burzom, w które krew go ciska, wzniesie się w czystej myśli uroczyska, na cisz zawrotnych wwieziony krawędzie, tylko twą piękność czuć i widzieć będzie...” Niema prawie utworu w tym tomie, w którymby nie było zaznaczone, w ten lub inny sposób, dążenie poety do światła w błękitcie, do życia wolnego od burz i udręczeń krwi, do „wiecznej cisy i milczenia wiecznego.“ Cykle: „W milczeniu“, „W wyobraźni“, „Na wiosnę“ i t. p. wyrażają to naczelną pragnienie poety; odbija się ono, jak w cichej lustrzanej powierzchni wolnego od burz jeziora, w pięknym poemacie „Qui amant“, gdzie odzywają się odgłosy nieuchwytnego przeduchowania J. Słowackiego i Shelleya (W Szwajcaryi, Epipsychidion); występuje w oryginalnej formie w poemacie „Szalony Faun.“ Tu, uosobienie sprośnych uciech zmysłowych, bożek — ścigacz „smukłokształtych ud“, tęskni do pani błękitnych, cichych dni, najczystszej z czystych, do Psyche, do której radby modlić się, „od wszystkich ziemskich wolny żądz“ i jak jasne światło czuć... I oto:

Patrz! z krętej wełny, z koźlich nóg,
Z kształtu, co wlewał żądzę w krew
Śródziemskich Syren, leśnych dziew —
Jasny się wypromienia bóg...

Tak gruba materya bytu przekształca się w jasny kwiat, w dążenie do światła, sama staje się jasnością — bóstwem. Wszystko tak wychodzi ze zgiełków i udręczeń ziemskich, porzuca zawile drogi, rozpromienia się światłem wewnętrznym i na bezkreśnych przestrzeniach nowy rozpoczyna żywot. Podobne motywy wciąż się przewijają w utworach Tetmajera. Nie brak i innych, bar-

dziej gorzkich i męczących, ale tych już wyczerpywać nie mam zamiaru. Zwróć uwagę tylko na jeden, zawarty w „Pieśniarzu greckim“ i w kilku innych utworach. Tu dręczy pieśniarza świadomość, że jego słowo nie jest „nitarezą, ni chlebem“, nikogo nie krzepi, nikogo nie broni..., że „pękają struny, co mogły rzucać pieśń, jak łuny“, zostają te, co śpiewają piękność nagości, rozkosz zmysłów... Wolno każdemu biadać, wolno wyrzucać sobie niemoc własną; należy stawiać sobie obowiązki i czuć słabość własną, gdy się im z tych lub owych względów nie czyni zadość... Ale wolno i pocieszyć się, gdyż od pieśni już tak bardzo wielkich i skutecznych pokrzepień nikt się nie spodziewa, ani wymaga. Ma ona swoje, jej właściwe zadania, obowiązki, zasługi... Temu wszystkiemu pieśń poety rzadko się sprzeniewierza. Nie tu niema obojętnego, wszystko odczute, pogłębione, wydarte pospolitości, wyrażone szczerze, silnie, słowem bogatym i barwnym, wzruszającym, niekiedy podniosłym i jak piorun grzmiejącym. I to coś znaczy!...
Wł. Jabłonowski.

Listy ks. Zygmunta Goliana. — Zbiór listów znanego kapłana ma posłużyć z czasem, jak twierdzi wydawca, do skreślenia wyczerpującej charakterystyki i biografii ks. Goliana. Istotnie, w listach tych można spotkać wiele materiału ciekawego, że wspomnimy o ustępach, dotyczących „Kraszewskijady“ (!), t. j. jubileuszu J. I. Kraszewskiego w Krakowie. Ustępy te są nader wymowne.

Stanisław Srokowski: Fridtjof Nansen i jego wyprawa do bieguna północnego. — Autor mówi o wyprawie do bieguna północnego, dokonanej przez Nansena, przypisując jej znaczenie niepospolite w dziejach ludzkości. Książka jest opatrzona mapą podróży, oraz portretem Nansena.

Od redakcyi.

Każdy prenumeratorem „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rub. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rub. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowań na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.

Kwartał I-szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorem od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rub. 1 kop. 50, lub rub. 2 za też tomy w oprawie.

NADESŁANE.

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA
W WARSZAWIE

Powieści historyczne Zygmunta Kaczkowskiego

Wybór pism w 10-ciu tomach.

Z portretem autora i przedm. Ignacego Chrzanowskiego.
Cena rub. 5, w oprawie rub. 7.

Treść: T. I. Mąż szalony — Bitwa o chorążankę. Tom II. Junakowie. — Swaty na Rusi. — Kasztelanice Lubaczewscy. Tom III—IV. Mordelio. — Tradycje Sanockie. Tom V—VI. Gniazdo Nieczujów. — Starosta Holubucki. Tom VII—VIII. Grób Nieczujów. Tom IX —X. Anuncyata.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ATLAS do Dziejów Polski

zawierający 13 map kolorowanych

E. Niewiadomskiego.

Cena rs. 1.50, w kartonie rs. 1.70.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Album Sienkiewicza.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wydawnictwo jubileuszowe. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Henryka Sienkiewicza w 20 ilustracjach, wykonanych w heliograviurach, według rysunków: Brandta, Chelmońskiego, Kamińskiego, Kotarbińskiego, Pochwałskiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stachiewicza i Wodzinowskiego, ze wstępem krytycznym Stanisława hr. Tarnowskiego, oraz wyjątkami z dzieł Henryka Sienkiewicza. Wydanie wytworne na pięknym welinie in 4-to, w ozdobnej oprawie, rub. 8.

Wł. Gołembowski KANTOR PRZEWOZOWY

Krakowskie-Przedmieście № 2.

Przeprowadzki i Opakowania.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek przeczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniająco. Na 10 wystawach powszechnych złotych medali odznaczona. Jest wszędzie.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla kobiet. Warszawa, Krak.-Przedmieście 17.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla mężczyzn. Warszawa, Krak.-Przedm. 17.

PRZEPROWADZKI
A. WRÓBLEWSKI i S^{KA}
TREBACKA 13.
OPAKOWANIE
MEBLI